

NA TROPIE

ROK IV. NR. 1.

Hasło dnia dzisiejszego.

Przeżywamy ciężki kryzys gospodarczy — zwłaszcza, że 70 procent naszej ludności — to rolnicy, którzy nie otrzymują za produkty rolnicze takich cen, by mogli nabywać potrzebne im wytwory przemysłu.

Kryzys ten nie dosięga tych rozmiarów, co n. p. w Niemczech, lub w innych krajach, bardziej uprzemysłowionych.

Nie mniej jest on ciężki. Pociąga za sobą ofiary, niesie nędzę, bezrobocie.

Nasz naród odznacza się przytem łatwością popadania w chorobliwy pesymizm — nigdzie niemal się tyle nie narzeka co u nas.

Gdyby się spełniły te wszystkie przepowiednie zgorzkniałych pesymistów, które zostały wypowiedziane w ostatnich bodaj tylko latach, to nie powinno już z nas ani śladu pozostać.

Temu narzekaniu, pesymizmowi, który wsącza się powoli w duszę, trzeba stawiać czoło.

Trzeba zdobyć się na siłę przetrwania złego.

*

Od 1 do 8 lutego organizuje się w Polsce „Tydzień walki z alkoholizmem" pod egidą Polskiej Ligi Przeciwalkoholowej (Poznań, Aleje Marcinkowskiego 26).

Sądzę, że w każdej grupie młodzieży powinno się poświęcić parę chwil informacjom o społecznem znaczeniu walki z alkoholem, o jego szkodliwości.

To mało jednak powiedzieć kilka ogólników.

Chłopcom trzeba to udowodnić! Trzeba dać im do rąk materjał, uzbroić ich w fakty, by oni mogli też każdemu, który ich będzie nakłaniać do kieliszka lub szklanki, odpowiedzieć i przedstawić, dlaczego alkohol jest taki szkodliwy.

Drużyny spełnią dobry uczynek, pomagając, lub organizując konferencje i poranki antyalkoholowe w swem otoczeniu.

Powtarzam termin 1 — 8 lutego.

Ze świata skautowego.



Skauci z Oslo na wycieczce. Fotografję, zrobioną specjalnie dla „Na Tropie", nadesłał nam drh. F. Melby. — O zimie i zajęciach skautów norweskich pisaliśmy w „Na Tropie" Nr. 1 z ub. r.

OBÓZ SKANDYNAWEK będzie miał miejsce w Kenzun od 6 do 17 lipca br. W obozie zbiorą się drużynowe i starsze skautki. Oprócz całego szeregu nadzwyczaj interesujących wycieczek po Finlandji — będą urządzone następujące zawody: w gotowaniu, pierwszej pomocy, tropieniu, zręczności, odgadywaniu czasu, rzuceniu liny ratowniczej, wiązaniu węzłów. Pełna opłata za pobyt z wyżywieniem i kosztami podróży od granicy Finlandji wynosi 750 Fmk. Z każdej organizacji zagranicznej zostały na obóz zaproszone 3 instruktorki.

WIĘZIENIA I ZAKŁADY POPRAWCZE w Imperjum Brytyjskiem zawiązują coraz częściej z pośród więźniów drużyny skautowe. Jak dotychczas praca skautowa w tych zakładach daje bardzo dobre wyniki. Ostatnio w Indjach w Punjabie odbył się obóz, w którym brała udział młodzież szkolna. Jeden z zastępów tego obozu był złożony z małoletnich więźniów, urlopowanych na czas obozu, drugi z wychowanków szkoły poprawczej. Członkowie byli wyznawcami różnych religij, także należeli do kilku odrębnych narodowości. Mimo tych, zdawałoby się nie do pokonania trudności uczestnicy obozu bardzo szybko zgrali się i obóz dał wspaniałe wyniki. W konkursie o wygląd namiotu w czasie trwania całego obozu zastęp szkoły poprawczej zdobył pierwsze miejsce.

OBÓZ OJCÓW był między innemi urządzony na międzynarodowym obozie skautów w Danji w roku ubiegłym. Obozowało „30 ojców", których synowie są skautami. Członkowie obozu byli podzieleni na zastępy.

NAJPOPULARNIEJSZE SPRAWNOŚCI wśród skautów Anglji, to sprawność służby ambulansowej, kucharza i pływaka.

O BUCZU przynosi dłuższą wzmiankę ostatni Nr. Skauta-Junaka. Piszą, że budowa szkoły kosztowała ponad 1 000 000 koron czeskich. Redakcja „Junaka" prosiła o fotografje Bucza, któreby chciałaby reprodukować — cóż kiedy dotąd niema takich które nadałyby się do reprodukcji.

JEDNA Z DRUŻYN LONDYŃSKICH zbiera monety ½ pensowe (około 10 groszy) oraz stanjolę (srebrny papier od czekoladek), którą następnie spienięża, a uzyskane w ten sposób fundusze przeznacza na naprawę organów kościoła jej dzielnicy. Dotychczas zebrano 1000 sztuk ½ pensów.

RĄBANIEM DRZEWA, do którego wynajmują się starsi chłopcy drużyny robotniczej w Leamington, powstają fundusze na obóz drużyny.

BADEN-POWELL dokonał niedawno odsłonięcia emblematu odznaki skautowej męskiej na lokomotywie w fabryce lokomotyw L. M. S. Podobnej ceremonji dokonała Lady Baden-Powell, odsłaniając w tejże samej fabryce emblemat organizacji żeńskiej na innej lokomotywie. W Anglji istnieje zwyczaj nadawanie lokomotywom nazw.

EXTENSION BRANCH. Większość skautek w Extension Branch są to dziewczynki nieuleczalnie chore — niewidome, ułomne itp., pozatem istnieje parę drużyn przy szpitalach dziecięcych.

Wielka Brytanja ma obecnie 400 druhen w Extension Branch, w innych krajach ruch ten jest dopiero w początkowem stadjum. W Indjach istnieją 3 drużyny trędowatych, poszczególne drużyny przy zakładach dla niewidomych i głuchoniemych istnieją we Francji, Finlandji, Belgji, w Polsce i w Stanach Zjednoczonych.

W Anglji istnieje 5 typów tych drużyn: ociemniałych, głuchoniemych, ułomnych, niedorozwiniętych i t. zw. „pocztowych" skautek, t. j. takich które domu opuścić nie mogą z powodu choroby lub kalectwa, i nie mają żadnej okazji spotkania się z innemi skautkami.

Wszystkie te drużyny podlegają miejscowej Komendzie Chorągwi, tak samo jak i zwykłe drużyny skautowe; zastępowe są albo miejscowe, n. p. z danego szpitala czy szkoły, lub też „z miasta", zależnie od warunków lokalnych, zuchy i skautki pocztowe prowadzą pracę za pomocą korespondencji.

Próby dla tych druhen pozostają bez zmiany, najwyżej niewykonalne punkty prób są zastąpione innemi, odpowiednemi dla danej druhny. W drużynach ociemniałych, zarówno jak w innych typach drużyn, skautki bywają bardzo „zawzięte" i żądają trudnych prób, „kompletnie jak dla normalnych drużyn". Tak np. pewna skautka angielska o sparaliżowanej nodze była na obozie i **nauczyła się pływać** (o wstydzie dla wszystkich druhen, co pływać nie umieją). W szpitalach, gdzie dziewczynki mają ręce obandażowane, pomagają sobie wiązać węzły zębami i nogami. Dwa małe zuchy straciły — jedna prawą druga lewą rękę — „Ale we dwie (powiadały) stanowimy całego zucha" i zbudowały śliczny domek dla lalek i wysłały go innemu biednemu zuchowi na gwiazdkę. Chore i ułomne zuchy ogromnie lubią zrobić coś dobrego i użytecznego. (T.)

SKAUCI JAPOŃSCY podczas niedawnego trzęsienia ziemi oddali wielkie usługi, stając na różnych placówkach służby publicznej, między innemi rozlepiali listy zaginionych i zmarłych w miejscowości dotkniętych katastrofą.

SKAUT NACZELNY ŚWIATA Z ŻONĄ wyjechał w dniu 16 stycznia do Nowej Zelandji i Australji. Droga powrotna prowadzi przez Poł. Afrykę. W Anglji spodziewają się powrotu w połowie lipca.

NA WYSPACH FALKLANDZKICH, należących do Anglików też istnieją drużyny skautowe. W tym kraju — wiatrów, mgły i deszczów pracuje 50 drużyn skautowych, a pracuje tak gorliwie, że obecność na zbiórkach jest 100 proc.

Rok IV. Katowice, dnia 25 stycznia 1931 r. Nr. 1.

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski“

NA TROPIE

Konto w P. K. O. Katowice Nr. 305.330.

Cena 50 groszy.

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Wychodzi 10-go i 25-go każdego miesiąca.



Od Redakcji.

Czwarty rok istnienia rozpoczyna tym numerem nasze wydawnictwo. Ciężkie były te przebyte lata, gdy „Na Tropie“ zmagało się z niebywałemi trudnościami. Bywały okresy, że nie wychodziło parę miesięcy i zdawało się, że już się więcej nie ukaże.

Ale zawsze zwyciężała myśl uparta, że „Na Tropie“ musi żyć, bo jest potrzebne całej rzeszy młodzieży; świadczyły o tem liczne głosy czytelników, a jeszcze bardziej stale, mimo długich przerw w wydawnictwie, płynące prenumeraty.

Szczególnie ciężkim był rok ostatni, kiedy to do zwykłych już dla nas trosk przybyła może najcięższa, mianowicie redaktor naczelny opuścił Katowice siedzibę wydawnictwa. Jednak i w tem trudnem położeniu nie upadliśmy na duchu, lecz zaciąwszy zęby powiedzieliśmy sobie: „nie damy się“. I rzeczywiście pismo nie tylko nie upadło, lecz nawet wobec wzrostu ilości prenumeratów zdołaliśmy po raz pierwszy zamknąć z dniem 31. grudnia nasze księgi rachunkowe z saldem dodatniem, To umożliwiło nam częściowe rozwiązanie kwesji nad którą już od dawna łamaliśmy głowy — jak zaspokoić zwiększające się ze strony czytelników nalegania o powiększenie objętości pisma, o zaprowadzenia nowych i rozszerzenie już istniejących działów.

*I oto ukazują się od grudnia w „Na Tropie“ dwie nowe powieści specjalnie dla nas pisane i to jedna pisarki tej miary co **p. Kossak-Szczucka**, a druga znanej autorki powieści dla młodzieży **p. Zakrzewskiej** Uzyskujemy dzięki współpracy **inż. Czudka** pomoc Rady Ochrony Przyrody, której już od numeru grudniowego zawdzęczamy przyrodniczą wkładkę ilustracyjną.*

A wreszcie co najważniejsze, nie zawiedli nas nasi czytelnicy, prawdziwi przyjaciele pisma. Wezwanie rzucone w grudniowym numerze, by każdy z nich zyskał przynajmniej dwóch nowych prenumeratów, co umożliwiłoby nam powięskzenie pisma, nie pozostało bez echa.

Oto przytoczę dla zachęty innym jeden z licznych głosów naszych przyjaciół:

„Druhu Redaktorze!

Prosiłeś tak pięknie w 9/10 numerze „Na Tropie“ o zjednanie „przynajmniej dwóch“ nowych prenumdratów, że nie omieszkałem zjednać ich aż czterech, o czem z przyjemnością donoszę.

Naturalnie są to jak i ja harcerze 5 Lwowskiej „Orląt“. W ich imieniu komunikuję, że „Na Tropie“ jest nam wszystkim bardzo miłe, bardzo drogie i naprawdę bardzo kochane...“

Co więcej po tym liście z tej samej drużyny przybyło jeszcze trzech nowych prenumeratów,

Temu to entuzjazmowi czytelników, tej ich dobrej woli i czynnej chęci dopomożenia pismu, zawdzięczacie ten fakt że dziś na naczelnem miejscu numeru dzielimy się wielką i radosną dla wszystkich nowiną: od lutego 1931 r.

„Na Tropie“ — dwutygodnikiem.

Skromnie będzie narazie wyglądał ten drugi numer w miesiącu — tylko 4 str. druku zawierające aktualny artykuł wstępny, powieści i kronikę. Ale pierwszy krok zrobiony—już nie będziecie cały miesiąc czekać, by dowiedzieć się o dalszych losach powieściowych bohaterów, nie będziecie otrzymywać opóźnionych wiadomości ze skautowego i harcerskiego życia. Tylko 4 strony na razie — ale tak jak te 4 strony zawdzięczacie samym sobie, tak od was też zależy, by ten szczupły numer powiększył się, rósł i stał się takim jak jego poprzednik. Im więcej prenumeratorów, tem rychlej zrównają się oba numery pod względem objętości.

Tymczasem zapamiętajcie — 25-go będziecie dostawali numer duży o 16 str. z okładką, 10-go numer zmniejszony 4-stronnicowy. W lipcu i sierpniu „Na Tropie“ się nie ukaże, tak jak zresztą nie ukazywało się i lat poprzednich. Obecnie więc wychodzić będzie 20 numerów za cenę 6— zł. rocznie. Mimo powiększenia wydawnictwa prenumerata roczna pozostaje niezmieniona. Czyż i to nie powinno zachęcić naszych przyjaciół do zdobywania coraz szerszych rzesz prenumeratów.

ANGOLA.



Zwrócona twarzą ku swym południowo-wschodnim kresom, zdobywając zaszczytną nazwę „muru chrześcijaństwa“ — plecami stała Polska do swego morza. Mąż dzielny — zamiast chwycić za wiosła i żagle i biegiem Wisły lub Niemna na morskie wypłynąć fale, by szukać szczęścia i skarbów w dalekich, nieznanych krainach — dłoń trzymał na rękojeści szabli, wypatrując, z której znów strony zazdrośni sąsiedzi Polski granice najadą.

Więcej nam było trzeba Sobieskich, Żółkiewskich, niż poszukiwaczy przygód, którzy, aby się przypodobać swemu władcy, sztandar jego zatykali na ziemiach dalekich, niezbadanych. A gdy nadszedł wiek maszyn, gdy przeludniona Europa nie mogła sama wyżywić swych mieszkańców i brakło zbytu na wytwory zmechanizowanego przemysłu i owe zamorskie kraje stały się podstawą bytu i wielkości mocarstw — Polska jęczała w niewoli. Wymazana z mapy europejskiej nie miała możności zabiegania o kolonje, mogące przyczynić się do wzrostu jej dobrobytu i znaczenia. Choć setki tysięcy Polaków opuszczało ojczystą ziemię i rozpraszało się w świecie w poszukiwaniu chleba.

W pojęciu naszem zachodzi silny związek między słowem „mocarstwo“, a „kolonje“. Poprostu posiadanie kolonji uważamy za najłatwiejszy sposób rozwiązania najbardziej istotnych problemów gospodarczych państwa. I Polsce, z całym rozpędem jej sił żywotnych, walczącej o miano mocarstwa — przydałyby się kolonje, gdzie znalazłaby ujście nasza emigracja, wynosząca rocznie 400 tys. głów — gdzie przemysł nasz znalazłby odpowiednie rynki zbytu.

Sytuacja staje się coraz cięższa, Stany Zjednoczone, Brazylja, Argentyna — gdzie dotąd emigranci nasi znajdowali chleb — zamykają dostęp obcych, gdyż brak pracy nawet dla swoich. Wskutek ogólnoświatowego kryzysu, przemysł zatrudnia ledwie część robotników, szukających pracy.

W poszukiwaniu nowych terenów kolonizacyjnych dla naszej emigracji sfery rządowe zwróciły swą uwagę na Angolę, portugalską kolonję na zachodniem wybrzeżu Afryki. O Angoli społeczeństwo polskie usłyszało bodaj poraz pierwszy w grudniu 1928 r., kiedy to wyruszyła tam pierwsza polska ekspedycja w celu zbadania miejscowych warunków.

Ze sprawozdań członków tej wyprawy dowiadujemy się wielu ciekawych rzeczy o tym kraju.

Angola to kraj blisko 3 razy większy od Polski. Posiada ona kilka stref klimatycznych dzięki bogatej rzeźbie terenu i swemu położeniu geograficznemu. Brzeg morski, okręgi północne i południowo-wschodnie jako nisko położone, mają klimat wybitnie tropikalny. Duża ilość opadów i wysoka temperatura sprzyjają wspaniałemu rozrostowi szaty roślinnej. Zbity gąszcz drzew i krzewów, poprzerzynany jedynie ścieżkami dzikich zwierząt i rzekami, oraz w zbutwiałem poszyciu lasu, czychająca obfitość rozmaitych chorób odstraszały i odstraszają do dziś od tych stron Europejczyka.

Centralna zaś część Angoli jest górzysta, wzniesiona na 1400—1800 metrów ponad poziom morza, ma klimat ciepły, ale łagodny i ziemię urodzajną, nadającą się pod uprawę kawy, trzciny cukrowej, zboża itp.

Nie ma tu chorób tropikalnych jak śpiączka, malarja i — najstraszniejszy wróg Europejczyka — żółta febra.

Tu też biali zakładają swoje plantacje, samotnie rozrzucone w bezmiarach puszczy afrykańskiej, której trzeba dopiero wydzierać ziemię pod uprawę.

Biali mieszkańcy Angoli — to przeważnie Portugalczycy, którzy już w roku 1486 zatknęli tu swój sztandar i odtąd dzierżą tę ziemię w swojem posiadaniu.

W ostatnich czasach rząd portugalski poczynił wiele, aby podnieść kulturę Angoli, a przedewszystkiem jej czarnych tubylców. Liczne szkoły pracują systematycznie; z ich bram wychodzą czarni nauczyciele, którzy wracają do swych wiosek i uczą tam z kolei czytania i pisania, tak, że może już nie długo zniknie w Angoli analfabetyzm.

Stała akcja sanitarna przyniosła już wielkie zasługi, tępiąc liczne choroby, dziesiątkujące murzynów.

4 linje kolejowe, z których jedna przechodzi w poprzek całą Angolę, ułatwiają placówkom handlowym dostęp do wnętrza kraju. Prócz tego dla użytku europejskich mieszkańców posiadających auta, zbudowano 25 tys. kilometrów dobrych dróg automobilowych. A tam gdzie nie dotarła kolej, ani samochód, tam dociera wielki wóz boerski na dwu ogromnych kołach, opatrzony w budę i ciągnięty przez długorogie, powolne, wytrwałe woły. Angola jest również pięknym terenem myśliwskim. Lwy, pantery, antylopy, zebry, hipopotamy, krokodyle i wiele innych zwierząt składa się na bogatą jej faunę.

Cały urok egzotycznej, zamorskiej krainy, wszystkie niebezpieczeństwa ziemi tropikalnej znaleść można w Angoli. Ale żeby znaleść w niej bogactwo — trzeba mieć pieniądze na zakupno i karczunek ziemi, trzeba w znoju pracować pod palącemi promieniami afrykańskiego słońca; trzeba miec hart i siły prawdziwego pioniera i środki na uruchomienie warsztatu pracy. Nic też dziwnego, że rokowania z rządem Portugalji o otwarcie imigracji do Angoli idą powoli, gdyż Państwowy Urząd Emigracyjny stara się osiągnąć warunki dla naszej emigracji jaknajkorzystniejsze. Musi emigrację tę celowo przygotować, musi troskać się o to, by w ślad za naszymi pionieram szły nasze wyroby przemysłowe. Tylko wówczas, gdy wszystkie szczegóły tej wielkiej akcji będą gruntownie przemyślane i przygotowane — Angola może stać się dla nas tem, czem są kolonje dla innych państw — źródłem wzmożenia zamożności Polski i zapewnienia dobrobytu jej synom.

Binga.

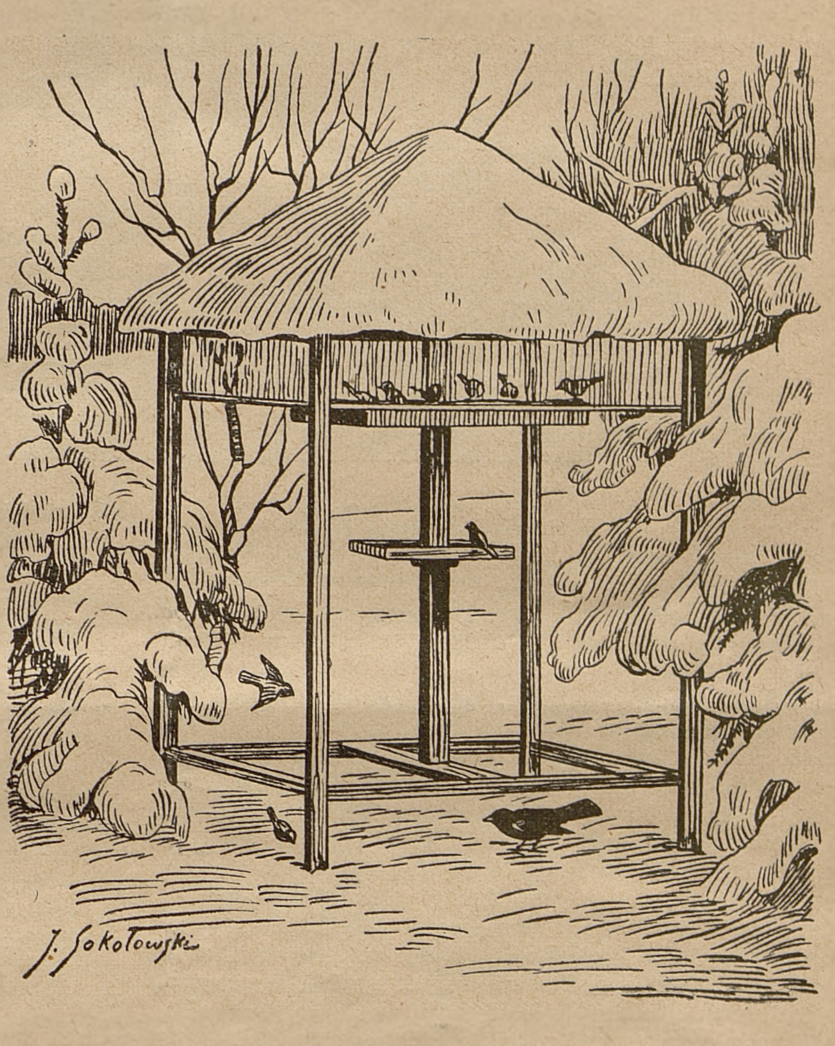


Chrońmy ptaki.

„Harcerz miłuje przyrodę i stara się ją poznać" — wszakże to jedno z naszych przykazań harcerskich. Czy zastanowiliście się już, druhny i druhowie, nad tem, w jaki sposób można się z przyrodą zapoznać w porze zimowej? — Ten i ów — zapewne — ale wszyscy — z pewnością nie! A jednak pora zimowa, to doskonała sposobność do obserwowania różnych zwierząt, między niemi i ptaków, które głód zmusza do zbliżania się do osad ludzkich. To też powinniśmy korzystać z tej sposobności, bo mamy z tego korzyść naukową i rozrywkę — a równocześnie spełniamy dobry uczynek, do czego jesteśmy przecież również zobowiązani. Oto jak sobie wyobrażam czynienie obserwacyj przyrodniczych w porze zimowej, w połączeniu z dobremi uczynkami:

Biorę niewielką deszczułkę lub grubszą tekturę, przymocowuję do okna od zewnętrznej strony, zaopatruję w daszek z gałązek świerkowych, celem ochrony od śniegu, a na tą deszczułkę wysypuję codziennie wszystkie okruszyny chlebowe i odpadki obiadowe, które się inaczej i tak wrzuca najczęściej do skrzynki od węgla, lub do śmietnika. Do tej deszczułki zaczną się wnet zlatywać nasi skrzydlaci przyjaciele, cierpiący zimową porą wielki głód, gdyż z pod grubej warstwy śniegu niczego nie mogą wydobyć. A przecież ci nasi przyjaciele, których śpiew nas wiosną i latem rozwesela i którzy tępią wielkie ilości szkodliwych owadów, przecież oni zasługują na to, aby ich wspomodz, i to tanim kosztem! A któż do tej pomocy bardziej jest powołany od Was druhny i druhowie? Ile to przyjemnych chwil spędzimy przy takim oknie jadłodajni! Również odpadki mięsne można dawać za okno albo gnieść w niewielkie kule i wieszać na sznurku lub drucie na pobliskiem drzewie, albo na szopie czy stodole. Taki pokarm mięsny lubią bardzo sikorki. Naturalnie, że i pokarm ziarnisty, jak pszenica, owies, jęczmień, kaszka itp. są bardzo dobrem pożywieniem, o które jednak w mieście trudniej. Za to na wsi będziemy głównie zbożem karmić. — Jeżeli rozporządzamy ogródkiem, to sporządzimy sobie większy karmnik w rodzaju przedstawionego na rycinie domku, który ustawimy w środku ogródka, pamiętając o tem, by zawsze coś pokarmu w nim było. Domki takie sporządzi najlepiej cała drużyna, albo przynajmniej kilku „majstrów", a ustawić można je nawet na publicznych miejscach, gdyż Zarządy Gmin mają polecenie popierania tej akcji. Oczywiście, że na takim domku umieścimy skromny napis, głoszący o tem, że go wykonali harcerze. Do takich domków powinni znosić pokarm wszyscy druhowie; należy również dbać o to, aby wnętrze zawsze było wolne od śniegu, a pokarm świeży, nie zamarznięty. Naturalnie, że nie trzeba przy sporządzaniu takiego domku trzymać się ściśle ryciny umieszczonej w niniejszym artykule. Domek może być skromniejszy, albo też całkiem odmiennej konstrukcji — byle tylko spełniał dobrze swoje zadanie. Nie należy się zrażać tem, że ptaki z początku będą domek czy deszczułkę omijały. Po kilku dniach przyzwyczajają się i będą stałymi gośćmi. Uważać tylko należy, aby się koło takich budek nie włóczyły koty, czyhające na życie ptaszków. Dokarmiać należy nawet wtedy, kiedy śniegu niema, i to tak długo aż ptaki wiosną same przestaną przylatywać do budek.

A nie zapominajcie napisać do Redakcji o tem, coście zrobili i coście przy tej sposobności widzieli. A więc jak wygląda Wasz domek, czy też Wasza deszczułka, jaki pokarm dajecie, jakie ptaszki macie „na wikcie" w jakich ilościach, gdzie umieściliście domek, itp. Im więcej napiszecie, tem lepiej. Redakcja odda Wasze listy do przeczytania ludziom,



zajmującym się życiem ptaków, którzy z podobnych przyczynków piszą książki o ptakach. To też nie martwcie się, że źle napiszecie — ci ludzie Was napewno zrozumieją. Aby Was zachęcić do tych opracowań, wyznacza Redakcja 5 nagród w postaci ciekawych książek przyrodniczych, które roześle z początkiem marca 5 czytelniczkom i czytelnikom naszego pisma, których odpowiedzi będą najlepsze. A więc do pracy!

Inż. Czudek.

Walny Zjazd Z. H. P. będzie obradował w Krakowie 1 i 2 lutego b. r. W Zjeździe Walnym biorą udział czołowi kierownicy ruchu harcerskiego czy to jako delegaci instruktorscy, czy delegaci K. P. H., czy wreszcie członkowie 24 osobowej Naczelnej Rady Harcerskiej. Obrady będą się toczyć nad rocznemi sprawozdaniami z pracy naczelnych władz harcerskich, oraz nad najbardziej żywotnemi sprawami całego Związku.

Następny numer „Na Tropie", dzięki przejściu na dwutygodnik, przyniesie szerokiemu ogółowi harcerskiemu pierwszy wiadomości o wynikach Zjazdu.



Chora Marylka, Julek i mały Bolek, mieszkańcy dworu wiejskiego, oraz ich kuzynek, Władek, żyją w wielkiej przyjaźni z dużym wilczurem „Lupusem" i grubym buldogiem „Topsy". Przybyły w gości prof. Korzycki, widząc tę przyjaźń, opowiada dzieciom, jak to jedna pani z Mannheim nauczyła psa Rolfa czytać, rachować i rozmawiać z ludźmi przy pomocy stuknięć łapą.

2)

— Dziwiono się, owszem. Sława Rolfa rozeszła się szeroko i niedługo uczeni poczęli ściągać istną procesją do Mannheim. Ja w ich liczbie byłem... Trzeba wyznać, że biedny Rolf bardzo nie lubił tych odwiedzin. Zamykano go bowiem na parę godzin z obcymi ludźmi, którzy zadawali mu męczące, krzyżowe pytania, mające na celu stwierdzenie czy ma się do czynienia z rzeczywistą psią inteligencją zbliżoną do ludzkiej, czy z nadzwyczaj zręczną tresurą. Muszę przyznać, że wszystko przemawiało za pierwszem, i że najzawziętsi przeciwnicy teorji o indywidualnym rozumie zwierzęcym jak n. p. profesor Claparéde z Genewy, musieli zgodzić się ze mną i profesorem Mackenzie z Londynu na to, że Rolf nie formułuje swych odpowiedzi mechanicznie, lecz obmyśla je, jak jednostka rozumna...

— Ach, nic z tego nie rozumiem! — westchnął Bolcio.

Stary profesor roześmiał się serdecznie.

— Masz rację bąku. Zacząłem wyrażać się zbyt naukowo... Lecz baczność: usłyszycie zaraz coś weselszego... Otóż więc Rolf, który bardzo lubił rozmawiać z domownikami o wszystkiem co jego i ich zajmowało, nie znosił przyjezdnych i nie chciał za nic odezwać się ani słowem, a raczej stuknięciem. Gdy przyjeżdżały uczone komisje, odwracał się do nich tyłem. Aby zaszczycił je rozmową, trzeba było uciekać się do przekupstwa. Ogromnie lubił łososia wędzonego i za jego cenę zgadzał się rozmawiać. Ja sam, nie przychodziłem nigdy do niego inaczej, jak z potężnym kawałem wędzonego łososia w kieszeni...

— Naszym psom trzeba by obiecać kiełbasy...

...Kiedyś przyjechała do Mannheim pewna Amerykanka, która odrazu tak się niepodobała Rolfowi, że za nic nie chciał z nią mówić. Nic pomógł łosoś wędzony, ani żadne obietnice. Pani domu, „mama", bo tak ją pies nazywał — zniecierpliwiona tym uporem, kazała mu surowo być grzecznym. Pies odpowiedział: będę z nią mówił, chociaż jest szkaradną, jeżeli zrobi co ja chcę...

— Wszystko zrobię, mój drogi Rolfie! wszystko co tylko zechcesz! — wykrzyknęła miss uradowana, a pies na to przymrużając jedno oko, wystukał:

— Niech pomacha ogonem!

Cała czwórka buchnęła śmiechem, długim, niepowstrzymanym. Wylegujące się opodal na słońcu oba psy, podeszły bliżej, zaciekawione przyczyną tej nagłej radości.

— Boże, Boże, jakież to strasznie ciekawe! — wołała z przejęciem Marylka, — niech pan będzie tak dobry i jeszcze nam coś opowie! Takie nadzwyczajne, niesłychane rzeczy i nic się o nich nie wie! Dlaczego?!

— Sam się nieraz zastanawiałem, dlaczego? — uśmiechnął się profesor. — Kiedyś, jeszcze na rok przed wojną miałem w jednem z większych naszych miast odczyt o Rolfie... Ledwo zacząłem mówić, jedni słuchacze poczęli gwizdać, drudzy wychodzić ze śmiechem. Myśleli, że kpiny sobie z nich robię... Więc dałem pokój... Ludzkość jest zbyt zajęta swemi sprawami, by zwrócić uwagę na tych dobrych towarzyszy, których Bóg dał nam za współmieszkańców naszej planety — na zwierzęta. Przez chwilę trwało milczenie.

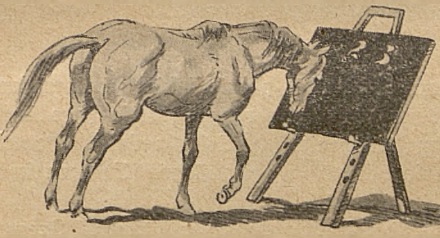
— Pan wspomniał na początku o jakichś koniach, — zaczęła nieśmiało, błagalnie Marylka, — co za konie? czy także mówiły?

— Ach, sławne konie? Eberfeld. To był eksperyment ciekawszy jeszcze niż Rolf...

— Dzieci! nie męczcie już pana profesora! — krzyknął ojciec z końca werandy, gdzie wiódł z dyrektorem Jelskim żywą dyskusję o polityce.

— Ależ to mnie wcale nie męczy — obruszył się żywo profesor, — przeciwnie, to mój ulubiony temat.. Owe konie były własnością dr. Kralla, bogatego dziwaka, który poświęcił im wiele lat pracy. Było ich pięć; Hans, o przydomku Mądry (der Kluge), dwa araby Zarif i Mohammed, ślepy stary ogier Berto, najpilniejszy, najuważniejszy ze wszystkich i Hänschen, mały kucyk szetlandzki, zdolny, wesoły i niesforny. Krall kochał je i rozmawiał z niemi długo, serdecznie jak z dziećmi. Z nieporównaną cierpliwością powtarzał tygodniami to samo żądanie. W dwa miesiące po pierwszej lekcji konie

już robiły małe dodawania, odróżniając dziesiątki od jedynek przez wystukiwanie pierwszych prawą, drugich lewą nogą, a w cztery miesiące później zaczynały się już uczyć alfabetu. W parę lat później byłem świadkiem takiej „lekcji". Przed koniem stała oparta pochyło o ścianę tablica z alfabetem. Litery dużych rozmiarów wypisane były w czterech rzędach. Liczbę rzędu wystukiwano prawą nogą, liczbę litery w rzędzie — lewą. Konie nie myliły się prawie nigdy i stukały tak szybko, że trudno było nadążyć zapisywać. Odpowiadały na pytania, skarżyły się na siebie wzajemnie, lub na stajennego, rozróżniały i umiały nazwać kolory, dźwięki, godziny na zegarze. Podobnie jak Rolf, nadzwyczaj lubiły oglądać kolorowe obrazki. Najlepiej, najbystrzej odpowiadał mały kucyk Hänschen. Śmieszne to było stworzenie. Gdy się go pochwa-



liło, z radości rżał, wspinał się, wierzgał. Nakoniec lekcja skończyła się smutnie: rozdokazywany uczeń chwycił mocno swego pana zębami za spodnie i został odesłany za karę z powrotem do stajni, bez zwykłej porcji cukru i marchwi...

Zadowolony z wyników Krall zaczął próbować uczyć swoje konie m ó w i ć, mówić głosem, wargami. Lecz tutaj spotkał go zawód. Konie nie umiały, nie pojmowały, czy nie chciały.

— Nie mamy dobrego głosu — wystukiwały kopytem. Daremnie również dopytywał ich w jaki sposób porozumiewają się pomiędzy sobą...

Szkoda, to byłoby takie ciekawe!

— Ja zacznę uczyć nasze psy, — zadecydowała stanowczo Marylka, — mam dużo czasu, nie mogę chodzić, a będę taka cierpliwa jak Krall.

Profesor Korzycki uśmiechnął się pobłażliwie.

— Można spróbować — rzekł, za skutek jednak nie ręczę. Bądź co bądź, były to wypadki wyjątkowe. Nie chciałbym abyście źle zrozumieli to, co mówiłem o tem, że ludzie nie znają zwierząt... Nie sądzę, aby było dobrem, by każde zwierzę umiało, dzięki sztucznej edukacji porozumiewać się z ludźmi. Eksperyment z Rolfem lub końmi Kralla, jest ważny przez to tylko, iż wykazuje, że zwierzęta czują, myślą, rozumieją, może nawet nieraz nas sądzą... Dlatego warto, aby ludzie poddali nakoniec rewizji swój stosunek do nich, który jest wciąż jeszcze w olbrzymiej większości wypadków barbarzyński i niegodziwy...

— Ja jednak spróbuję uczyć Topsego i Lupusa, — powtórzyła z uporem dziewczynka.[1])

ROZDZIAŁ II.

— Czekajże Julek, nie leć! w którą stronę pójdziemy?

— Ach wszystko jedno! wszędzie jest cudnie... chciałbym dziś wszystko jeszcze raz oblecieć... Lupuś, Topsy! — naprzód! do rzeki!

Obaj chłopcy zbiegli pędem w dół ku bystrej podgórskiej rzeczce co płynęła wartko, pluskając głośno po kamieniach, chłodna i czysta. Usiedli okrakiem na rzuconej przez nią kładce, śledząc z ciekawością pstrągi migające chyżą błyskawicą pod wodę. Lupuś brodził z rozkoszą po wodzie, wyszukując głębsze miejsca, na co Topsy patrzył z brzegu z podziwem i odrazą zarazem, gdyż nie znosił zimnej wody.

— Topsy! przynieś! zawołał Julek, rzucając w wodę kawał oderwanej od kładki kory. Obaj z Władkiem wybuchnęli śmiechem, bo pies przeczuwszy ten nakaz poskoczył w las, jak gdyby ujrzawszy tam coś niezmiernie ciekawego.

— Bohater z pod łopucha!

Urwali, bo gdzieś niedaleko rozległ się pisk niby dziecka. Lupus podskoczył w górę, jak sprężyna, rozpryskując w koło wodę i popędził za głosem w górę parowu. Chłopcy porwali się za nim. O kilkadziesiąt kroków zaledwie od nich w gęstym krzu tarninowym szarpał się zając złapany widocznie w sidła. Topsy stał nad nim z miną raczej zakłopotaną niż krwiożerczą.

— Lupus! waruj!! Lupus! nie rusz! nie wolno! — wrzeszczeli co sił obaj chłopcy. Lupus, który uciekającego zająca dognałby i zdusił bez wahania, nad złowionym, krzyczącym głosem małego dziecka wstrzymał się chwilę, niepewny. — Władek zdążył dopaść go i przychwycić za obrożę, podczas gdy Julek wpełzał ostrożnie w krzak, by uwolnić więźnia. Pętla zdrutu chwyciła szaraka nie za gardło, lecz wpół, dzięki czemu nie udusił się odrazu. Delikatnie chłopiec rozginał paść wżartą w miękki puch podbrzusza, aż do żywego ciała. Zając przerażony ostatecznie, spoglądał nań wielkiem okrągłem okiem pełnem osłupienia. Psy charczały, wyrywając się Władkowi i trzęsąc z emocji.

— Już zaraz będzie... trzymaj je dobrze! jazda! zmykaj nieboraku!

Oswobodzone zwierzę mignęło szarą błyskawicą z ręki chłopca. Topsy i Lupus skomlały spazmatycznie, lecz Władek trzymał je mocno. Julek odplątał od pnia drzewa wnyk, umiejętnie przyczepiony.

— Pokażę to tatusiowi, niech zatelefonuje zaraz do leśnictwa... Gajowi niby pilnują, a jakieś szkaradne chłopaki zastawiają sidła!...

Ciężkie kroki zatrzeszczały nieopodal. Rosły kwadratowy chłopak o głowę przynajmniej wyższy od Julka, zbliżył się ku nim. Miał chmurną twarz i niemiłe spojrzenie.



— Francek! wykrzyknął z radością Julek, — Francek! gdzieżeś ty był tyle czasu? Kiedyś wrócił?

— Dobrze rano... Toż jak się masz — odmruknął przybyły. Ano na byłem na robocie u wujka co ma młyn aż koło Oświęcima... A ty z kim?

— To jest Władek z Krakowa, mój cioteczny brat, — a to jest Francek Pembala, mój kolega, bardzo morowy chłop, — zwrócił się Julek do krewniaka.

— Twój kolega? — powtórzył Władek z mimowolnem zdziwieniem.

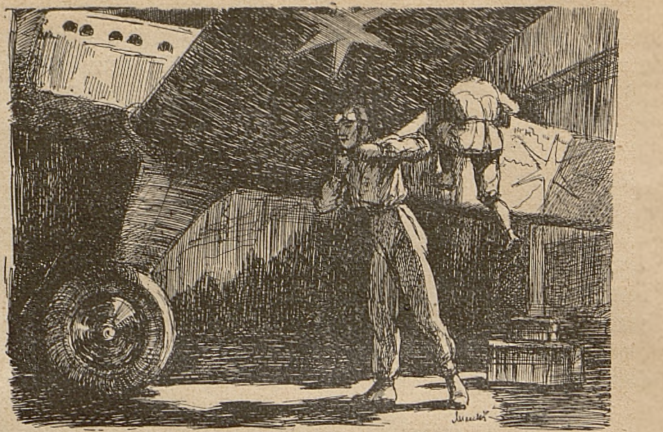
— Nie ma się czemu dziwować, bo dwanaście roków miałem, jak mię dopiero do szkoły posłali, — zamruczał niechętnie Francek — czasu ja w szkole darmo nie tracił...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

[1]) Wszystko, co mówi prof. Korzycki o psie z Mannheim i koniach z Elberfeld, jest ścisłą prawdą, opartą na poważnych sprawozdaniach naukowych owych komisji, których tak nie lubił Rolf.

HELENA ZAKRZEWSKA.

Zwycięski lot.



Kapitan Villeroy przygotowywuje się do przelotu przez Atlantyk na samolocie. Niestety w przeddzień odlotu z paryskiego lotniska kapitan łamie nogę na drucie przeciągniętym przez nieznanych sprawców. Dwaj wychowankowie kapitana — dzieci polskich emigrantów, z których starszy, Janusz, jest jego mechanikiem i pomocnikiem, postanawiają „zastąpić" kapitana.

2)

Janusz pasuje się z pokusą nad siły.

— Nie wolno mi, nie wolno mi ciebie samego zostawić, mogę przecież zginąć.

— To też nie zostawisz mnie wcale, bo zabierzesz mnie z sobą.

— Julku!

Ale Julek wisi już na szyi brata, a potem w szale radości tańczy po hangarze.

— Lecimy, lecimy, będą myśleli, że to niby on! Prędko, Januszku, przebierz się w jego ubranie. Lecimy! Ha, ha, ha!

Janusz targa się za czuprynę, żeby oprzytomnieć. Ale radość małego braciszka i jego ogarnia płomieniem.

— Cicho, nie krzycz! Popsujesz wszystko! A jak zginiemy?

— To zginiemy razem. Ale nie zginiemy. Nie kracz! Będą myśleli, że kapitan Villeroy złamał nogę. A kapitan Villeroy tymczasem doleci do Nowego Jorku. To będzie heca! Śpiesz się, Januszku!

Janusz, nieprzytomny z uniesienia, naciąga na siebie przygotowane dla kapitana ubranie, bierze na głowę haubicę lotniczą, starannie zaciąga rzemienie i zapina sprzączki.

— Julek, ty weź na siebie mój swetr i kożuszek kapitana, leży tam w kącie. Tak! teraz musisz schować się pod siedzeniem. Później ulokuję cię gdzieś wygodniej. Masz tu koc, ten ciepły, tak. Patrz, tu jest żywność, W ciągu drogi jedz, ile zechcesz. Mamy jej poddostatkiem. A tu są słuchawki. Musisz je mieć na uszach, bo inaczej nie mógłbyś mnie słyszeć. O Boże, co za szaleństwo! No, hop, skacz do środka! Poczekamy teraz na zmianę warty.

Julek przepadł w głębi samolotu. Janusz pocichu otwiera wrota. Deszcz przestał padać! Na niebie tu i ówdzie mrugają wesoło gwiazdy. Przy bramie ruch. To zmiana warty. Oddział żołnierzy ustawia się na lotnisku.

Jeszcze jeden kwadrans, drugi...

— Janusz! lećmy już! — dobywa się z głębi samolotu rozkazujący szept.

Janusz drgnął, przeżegnał się.

— O, Matko Boska Częstochowska! dopomóż nam! — modli się błagalnie w głębi duszy.

Stanął w progu, gwizdnął. Nadbiegają żołnierze.

— Wytoczyć maszynę! — mówi krótko Janusz po francusku, naśladując głos kapitana.

„Złota Gwiazda" wyjeżdża wspaniale na lotnisko. Na wschodzie widać już rąbeczek świtu. Zaczyna szarzeć! Od miasta dolatuje warkot wielu samochodów.

— Najwyższy czas! — myśli Janusz. Spokojnie ogląda samolot, wskakuje do wnętrza, puszcza w ruch motor. Wszystko jest w największym porządku. Przy skrzydłach stają żołnierze, czujni na każdy ruch rzekomego kapitana.

Janusz podnosi rękę. Śmiga zaczyna się obracać. Janusz rozsiada się wygodnie. W rękach tętni i pulsuje mu życie motoru. „Złota Gwiazda" płynie lekko po lotnisku. Janusz czuje, że drobne, dziecinne ręce oplatają jego kolana uściskiem, pełnym uniesienia. Naciska pedały. Samolot miękko i wdzięcznie odrywa się od ziemi. Zatacza koło. Unosi się coraz wyżej i wyżej.

W tej chwili zakotłowało się u bramy. Szereg aut zajeżdża pędem. Dostojnicy państwowi, dziennikarze, sportsmeni.

— Co to jest? Kto tam leci? — pytają zdumione głosy.

To kapitan Villeroy opuścił w tej chwili lotnisko! — odpowiada salutując służbisty podoficer.

Zdumieni i zawiedzeni goście podnoszą głowy do góry. „Złota Gwiazda" płonie teraz, jak meteor, w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Jak wspaniale, równo i spokojnie szybuje w przestworza! Wznosi się ciągle w górę, staje się coraz mniejsza, wreszcie zamienia się w ruchomy czarny punkcik.

Wówczas pan minister zdejmuje cylinder z głowy i mówi poważnym, uroczystym głosem:

— Majorze Villeroy, niech cię Bóg prowadzi.

— Niech żyje Francja! — wołają z uniesieniem wzruszeni i pełni podziwu goście.

II.

Nad Paryżem zwolna zaczęły się rozpraszać szare mgły poranne. Na zrębach olbrzymich bloków kamiennych, kryjących w sobie mrowisko ludzkie, zaróżawiły się pierwsze blaski słońca. W pięknej willi, leżącej w bliskości Champs Elisées, wszyscy mieszkańcy pogrążeni są jeszcze w głębokim spoczynku. Sypialnia pana domu na pierwszem piętrze, tonie w mroku. Pan Albert Marcoin, dyrektor agencji Havas'a, wrócił do domu późną nocą, zażył proszek na sen i zanurzył się w otchłani snu, jak nurek w głębinach oceanu. Życie wielkich miast niszczy nerwy, spala organizm i odzwyczaja ludzi od spania. Wtedy zaczyna się panowanie aptekarzy. Człowiek cywilizowany, żyjący mózgiem i nerwami, staje się łatwym łupem każdego sprytnego fabrykanta wyrobów chemicznych, który zapomocą jednej białej tabletki, obiecuje obdarzyć go kilkoma godzinami niezmąconego spoczynku.

Pan Albert Marcoin zażył więc koło godziny pierwszej w nocy proszek na sen i z zadowoleniem zapadł się w nicość. Spałby pewnie wiele godzin, gdyby nie to, że coś go we śnie niepokoi. Śni mu się, że tylko co podyktował stenotypistce cały szereg niezmiernie ważnych politycznych wiadomości, gdy nagle wzywa go do siebie rozgniewany minister i krzyczy:

— Cóż to za brednie pan puszcza w świat, panie Albercie Marcoin! W tem wszystkiem niema ani słowa prawdy!

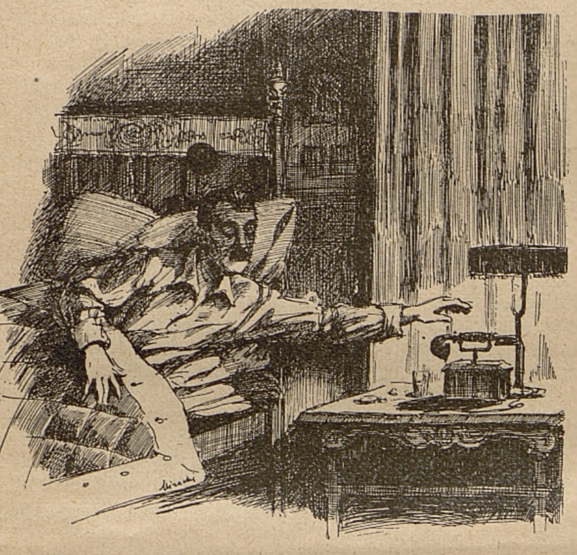
Dyrektor Havas'a oblewa się potem z przerażenia, cofa się ku drzwiom, uderza głową o kant łóżka i odzyskuje świadomość. Ach, Bogu dzięki, to był tylko sen! Jest w swojej sypialni, w swojem własnem łóżku, a nad uchem terczy mu

rozpaczliwie telefon, który służący zapomniał na noc wyłączyć.

Dyrektor mimowolnym gestem chwyta słuchawkę i podnosi ją do ucha.

— Hallo? Cóż to, nie dacie człowiekowi odpocząć ani na chwilę? Kto mówi? Ach, to pan, panie sekretarzu? Czy stało się co w agencji? Mówże pan do djabła! Villeroy wystartował? No dobrze, cóż w tem dziwnego? To było przecież w programie i Raymond miał być przy starcie. Coś nie w porządku? Raymond wrócił? Ach, jest na lotnisku? Chce się rozmówić ze mną? Cóż to takiego? Połącz mnie pan z nim natychmiast. Mój Boże, byłbym spał jeszcze ze trzy godziny! Aaa!

Dyrektor ziewnął, westchnął, sięgnął po papierosa i przymknął oczy na chwilkę, ale nielitościwy dzwonek telefonu znów zmusił go do ocknięcia się ze snu.



— Hallo, czy pan dyrektor? — zabrzmiał w telefonie głos najzdolniejszego z korespondentów agencji Havas'a.

— Tak, to ja! Czy był pan przy starcie Villeroy?

— Nie, panie dyrektorze. Start był zapowiedziany na godzinę piątą rano. Kiedy przyjechaliśmy na lotnisko, była czwarta minut dwadzieścia osiem. „Złota Gwiazda" szybowała już nad nami na wysokości kilkuset metrów i znikła nam z oczu, zanim zdołaliśmy wyskoczyć z samochodów.

— Sapristi, cóż się stało kapitanowi Villeroy? To człowiek z zasady tak dokładny. Widziałem się z nim około jedenastej wieczór, był w najlepszym humorze i zapewniał, że start nastąpi punktualnie o piątej.

— Panie dyrektorze, mam bardzo ważne wiadomości i dlatego pozwoliłem sobie zbudzić pana o tej porze. Major Villeroy prawdopodobnie nie odleciał wcale. Dozorcy lotniska mówią, że miał przykry wypadek tej nocy. Odwieziono go zemdlonego do miasta. Ma to mieć związek z jakimiś podejrzanymi osobnikami, którzy kręcili się tu od zmierzchu naokoło lotniska.

— Co pan mówi! Ależ to bardzo ważne! Czy policja zawiadomiona?

— Jeszcze nie, panie dyrektorze. Dotąd nikt, oprócz mnie, nie podejrzewa nawet, że mogło zajść coś nieprzewidzianego. Chciałem zachować dla nas pierwszeństwo rewelacji.

— Doskonale, zadowolony jestem z pana, panie Raymond. Czy ma pan jakie poszlaki?

— Rozmawiałem z wachmistrzem z oddziału żołnierzy, który pomagał przy starcie. Wachmistrz twierdzi, że rzekomy kapitan Villeroy wydał mu się niższy i szczuplejszy, niż zwykle. Wachmistrz nic jeszcze nie wie o wypadku kapitana.

— A ma pan jakieś informacje co do tego wydarzenia? Cóż to był za wypadek?

— Dozorcy nie chcą opowiadać szczegółów. Zdaje się, że kapitan zobowiązał ich do milczenia. O ile mogę wnosić z półsłówek, kapitan padł ofiarą jakiejś zasadzki i poniósł ciężkie uszkodzenie ciała. Jest jednak inna okoliczność, jeszcze więcej dająca do myślenia. W hangarze znajdowało się dwu młodych chłopców, wychowanków kapitana. Otóż chłopcy ci znikli bez śladu. Jeden z nich miał lat kilkanaście, drugi około dziesięciu. Podobno ubóstwiali kapitana. Starszy pracował z nim razem przy budowie samolotu.

— A skąd pan wie, że zniknęli? Może poprostu wrócili do domu?

— Przed chwilą telefonowała na lotnisko matka kapitana, pani Villeroy. Pytała, co się dzieje z chłopcami. Ja przyjąłem telefon. Przywołałem starszego dozorcę, który stwierdził, że chłopców niema na lotnisku. Pani Villeroy, odebrawszy tę wiadomość, krzyknęła rozpaczliwie: O, mon Dieu! rozpłakała się i prędko przerwała połączenie. Jakiś tajemniczy dramat kryje się za całą tą sprawą.

Dyrektor Marcoin, zupełnie już rozbudzony, siedzi na skraju łóżka z błyszczącemi oczami. D. c. n.

Harcerstwo Śląskie u Wojewody Grażyńskiego.

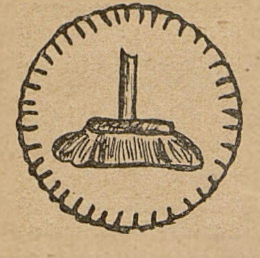
W dniu 12 stycznia br. Pan Wojewoda Śląski dr. Michał Grażyński odbył jako prezes honorowy Zarządu Oddziału Śląskiego Z. H. P. dłuższą konferencję z przedstawicielami harcerstwa śląskiego.

W konferencji wzięli udział dhna hm. Wanda Jordanówna, przewodnicząca Z. O., z ramienia harcerstwa żeńskiego dhna hm. Jadwiga Laszczkówna, Komendantka Chorągwi oraz dhna hm. Emilja Węglarzówna, czł. Kom. Chor., ze strony harcerstwa męskiego dh. hm. Jan Grzbiela, Komendant Chorągwi, dh. hm. Henryk Kapiszewski, czł. Kom. Chor., oraz Komendant Harcerskiej Szkoły Instruktorskiej na Buczu, dh. hm. Stefan Szletyński.

Na wstępie dhna Jordanówna podziękowała P. Wojewodzie za zainteresowanie, pomoc i opiekę, jaką stale otacza śląskie harcerstwo oraz zobrazowała w ogólnym zarysie jego obecne potrzeby i zamierzenia. Następnie dhna Laszczkówna i dh. Grzbiela złożyli sprawozdanie ze stanu harcerstwa żeńskiego i męskiego na Śląsku i przedstawili program pracy na okres bieżący, zaś dh. Szletyński zreferował wszechstronnie sprawy organizacyjne i programowe Szkoły Harcerskiej na Buczu. Na podstawie powyższych sprawozdań wywiązała się dłuższa dyskusja, w której P. Wojewoda poruszył cały szereg zagadnień, między innemi kwestję Starsz. Harc. i programu drużyn robotniczych i wiejskich, które to problemy żywo obchodzą nie tylko Śląskie Harcerstwo, ale i cały Związek. To też okazało się, że tak ważne tematy nie mogą być wyczerpująco omówione na jednej konferencji, wobec czego P. Wojewoda zaproponował odbycie szeregu takich konferencyj, w których ewentl. wziełoby udział nieco szersze grono kierowników pracy harcerskiej. Na tem zakończono tę tak interesującą i ważną konferencję, która dowiodła raz jeszcze, że honorowy prezes Harcerstwa Śląskiego chce i umie realnie z niem współpracować.



Wojewoda Śląski Dr. M. Grażyński, otrzymał niedawno harcerską odznakę Wdzięczności „Swastykę".



Sprawność pokojówki.

Sprawność pokojówki należy do najpopularniejszych sprawności wśród harcerek bo jest konieczna do II stopnia, a ponadto tak na pozór łatwa do uzyskania.

Gdy jednak trzeba w czasie próby wykazać się szczegółową umiejętnością wszystkich programem objętych prac niejedna druhna spostrzega, że jednak nie tak łatwo być dobrą pokojówką.

Aby dopomóc wszystkim kandydatkom na „pokojówki" podajemy poniżej program sprawności i szereg praktycznych wskazówek, które możecie wypróbować. w domu, zwłaszcza w czasie porządków przedświątecznych.

Pokojówka:

1. Zna kolejność wszystkich czynności sprzątania oraz rodzaje ścierek i szczotek używanych do tej roboty.

A więc: wszelkie sprzątanie zaczynamy od otworzenia okien w sprzątanej ubikacji. Usuwamy z podłogi dywany, krzesła wstawiamy na stół. Wtedy dopiero można zamiatać podłogę szczotką z włosia. Gdy podłoga zamieciona zamykamy okna, ustawiamy sprzęty na swoje miejsca, kładziemy dywany oczyszczone poprzednio ostrą miotełką i wreszcie ścieramy kurze.

2. Umie myć zamiatać podłogę: drewnianą, terrakotową i glinianą, zaciągać froterować posadzkę, czyści ściany tapetowane i malowane olejno, myć okna i opatrywać na zimę, ma sposoby tępienia insektów w mieszkaniu, umie palić w piecu.

Mycie podłóg nie wymaga specjalnych objaśnień — ciepła woda z mydłem i sodą oraz porządna ryżowa szczotka i ścierka oto czego potrzeba do wymycia podłogi i to zarówno drewnianej jak terrakotowej (kamiennej). Gliniana podłoga należy już dziś do rzadkości — można ją zmyć mokrą ścierką.

Znacznie trudniej jest zaciągnąć i utrzymać w porządku posadzkę froterowaną t. zw. parkiety. Taka podłoga parkietowa jest jednak najładniejsza i higjeniczna, gdyż łatwo z niej kurz usunąć. Po wymyciu jej tak jak zwykłej podłogi i po wyschnięciu zaciągamy ją specjalną masą którą gotową kupujemy w sklepie. Masa ta równomiernie roztarta na podłodze winna przeschnąć parę godzin poczem froteruje się podłogę specjalną szczotką i wyciera suknami do połysku. Im staranniej i częściej froteruje się tem podłoga piękniejsza. Tak samo zaciągamy pastą i froterujemy podłogi lakierowane. Jeśli chcemy podłogę na nowo polakierować trzeba ją po zmyciu zaciągnąć pokostem, dopiero na drugi dzień malować lakierem z puszki. Podłogę pokrytą linoleum wycieramy mokrą ścierką a następnie szmatką zmaczaną w nafcie, Można też wymyte i wysuszone linoleum nacierać pastą i szczotkować jak parkiety.

Ściany i sufity o ile są malowane zwykłą klejową farbą wycieramy poprostu szczotką na kiju owiniętą w barchanową nieco zwilżoną ścierką. Ściany malowane olejno myje się ciepłą wodą z sodą, tapety czyścimy wycierając je chlebem (ośrodką z chleba).

Mycie okien uskuteczniamy zapomocą ciepłej wody z sodą i wytarcia miękką ścierką. Futryny okien myjemy ciepłą wodą z amoniakiem. Tak samo drzwi. Aby szyby nabrały pięknego połysku wycieramy je mieszaniną z kredy i nafty, którą nacieramy szyby a potem wycieramy ściereczką. Mieszanina ta powinna tworzyć płyn dobrze zawiesisty.

Robactwo w kuchni tępimy przez zatkanie wszystkich dziur w podłodze i ścianach kitem, większe można zalać zarobionym gipsem. Na noc rozsypujemy specjalny proszek, bardzo też ważnem jest aby w kuchni było czysto, aby nie pozostawały na noc resztki jedzenia.

Również przeciw robactwu można zastosować proszek „Katol" bardzo skuteczny, który kupicie w każdej drogerji. Tam gdzie robactwo bardzo rozplenione trzeba użyć specjalnych świec gazowych do tępienia insektów. Dostaniemy je również w drogerji i tam też podadzą sposób użycia.

O paleniu w piecu nie będę pisać — trzeba się tej sztuki nauczyć przez osobistą praktykę do której sposobności chyba Wam nie braknie.

3. Umie ścierać kurz, trzepać meble, słać łóżka, wietrzyć pościel, napychać sienniki, szykować na podłodze posłania ze słomy i siana.

Ścieranie kurzu nie wymaga chyba spjecjalnych komentarzy — trzeba je ścierać codziennie miękką ściereczką w chwilę po sprzątaniu, gdy już kurz osiądzie. Meble i przedmioty rzeźbione, których nie można należycie wytrzeć ścierką czyścimy z kurzu specjalnie do tego przeznaczonym pendzelkiem.

Mebli nie powinno się trzepać w pokoju, lecz na podwórzu lub ganku — jeśli jednak nie można ich wynieść trzepanie trzeba uskutecznić przy otwartych oknach.

Przy ścieleniu łóżek najważniejszą zasadą jest by pościel codziennie była przewietrzana. Siennik czy materac obracamy przynajmniej co parę dni.

4. Umie nakrywać do stołu i utrzymywać w porządku naczynia stołowe.

Po przykryciu stołu obrusem ustawiamy na nim talerze stosownie do tego jaki posiłek ma być spożywany. Przy talerzu po prawej stronie kładziemy nóż, widelec i łyżkę, po lewej serwetę. Na stole stawiamy chleb, sól, wodę do picia i szklanki. Dobrze pamiętać o ozdobieniu stołu kwiatami. Półmiski podaje się zawsze osobom siedzącym przy stole z lewej strony.

Do naczynia stołowego zaliczamy porcelanę, szkło i przedmioty srebrne wzgl. metalowe. Każdą grupę tych przedmiotów myjemy osobno. Szkło w letniej wodzie, opłukujemy w zimnej i wycieramy czystą lnianą ścierką (inne pozostawiają włoski). Talerze i naczynia porcelanowe po obmyciu w gorącej wodzie spłukujemy letnią i gdy trochę obeschną wycieramy do sucha.

Noży nie myje się w gorącej wodzie, bo psują się od tego. Najlepiej wytrzeć je z tłuszczu i potraw papierem i potem dopiero myć. Po myciu czyścimy je specjalnym proszkiem, to samo odnosi się do łyżek i widelców. Jeśli są srebrne nie należy czyścić proszkiem lub co gorsze popiołem, bo się porysuje. Dla nadania połysku srebro i metalowe naczynia czyścimy raz w tygodniu specjalnym płynem do tego przeznaczonym i wycieramy miękką szmatką (najlepiej irchową). Po czyszczeniu należy jeszcze wymoczyć w zimnej wodzie oczyszczone przedmioty. Również do zimnej wody na całą noc kładziemy noże i widelce któremi jedzono śledzie. W ten sposób stracą przykry zapach.

5. Czyści buciki i ubrania, oprawia czyści i zapala lampy naftowe.

Czyszczenie butów to umiejętność napewno dobrze Wam znana z praktycznego życia. Zwrócę więc tylko uwagę na to, że buciki przed natarciem pastą trzeba twardą szczotką oczyścić z błota, a także do każdego koloru obuwia winny być używane inne szczotki.

Co do czyszczenia lamp naftowych to również tylko przez praktykę możecie się tego nauczyć. Chodzi o to by knot był równy i szkło od lampy co dnia porządnie wyczyszczone.

Przygotowując się do sprawności nie wystarczy jednak tylko teoretycznie umieć opisać co i jak się robi. Najważniejszą jest praktyka i bez niej sprawności uzyskać nie można. Dlatego radzę weźcie się do roboty w domu, a własne doświadczenia przy zastosowaniu powyższych wskazówek, napewno zrobią z Was doskonałe pokojówki.

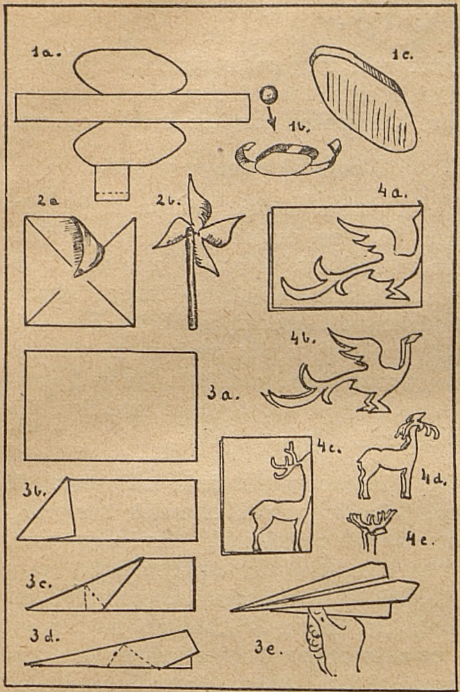
J. L.



Rozwiązanie Konkursu „Do kogo te psy należą?"

Okazało się, że nie jest to tak łatwo dobrać różnym ludziom psy: z 24 nadesłanych rozwiązań, tylko dwa były trafne! W wyniku losowania nagroda w formie 30 zł. przypadła dla XII. drużyny żeńskiej zastępu „Goryli" w Krakowie, zaś druhna Hesia Czajkówna otrzymywać będzie w roku 1931 „Na Tropie" bezpłatnie.

Rozwiązanie Wilczków z I dr. harc. w Krasnymstawie, choć pracowicie w formie wiersza ułożone — niestety okazało się błędnem. Również druh Goniewicz z Niwki zadał sobie wiele trudu by tak pięknie wyrysować psy z ich właścicielami — nadaremnie. A no — do trzech razy sztuka!



RADY MAJSTRA KLEPKI

Zabawki z papieru.

Gdy nie mamy pod ręką żadnego cenniejszego materjału do wyrobu różnych przedmiotów, sięgnijmy po zwyczajną kartkę papieru i zobaczymy, co się z tego da zrobić.

Tank.

Małym militarystom przyda się pewnie tank, jako uzupełnienie armji papierowej, czy ołowianej. Tank taki zrobić trzeba z grubszego nieco papieru, dokładnie według rys. 1a — w dowolnej wielkości. Przy zaklejaniu trzeba do wnętrza wpuścić kulkę śrutu (rys. 1b.), dzięki czemu tank raz pchnięty toczy się daleko, wywracając stojących po drodze żołnierzy.

Wiatraczek.

Na wiatraczek potrzeba nam kwadratowej kartki papieru, którą zaginamy najpierw wzdłuż jednej, potem wzdłuż drugiej przekątni. Skrzyżowanie przekątni daje nam punkt środkowy kartki. Następnie zacinamy kartkę na wszystkich 4 rogach zatrzymując nożyczki na 1 cm. przed punktem środkowym kartki. Co drugi róg (rys. 2) zaginamy do środka i przebijamy szpilką, którą z kolei wbijamy do pionowego pałiczka. Można z tym wiatraczkiem biegać trzymając go w ręce, lub poprostu wystawić go za okno, a wtedy kręci się szybko. Można również na palikach związanych na krzyż, lub na trzcince zgiętej w pałąk umieścić kilkanaście takich wiatraczków naraz i to wyciętych z różnokolorowego papieru, a wtedy uciecha jest jeszcze większa.

Strzała.

Przez trzykrotne założenie od rogu wpół złożonej podłużnej kartki papieru (rys. 3a — 3d) otrzymujemy strzałę. Strzała taka silnie rzucona ręką (rys. 3e) wznosi się nieco w górę i leci na odległość kilkunastu metrów. Po sporządzeniu kilku strzał z kartek o różnych wymiarach i proporcjach, przekonamy się, że każda z nich ma inne właściwości: jedna będzie specjalnie szybka, inna znów będzie się wyjątkowo wznosić w górę itp.

Zwierzęta.

Na kraju wpół złożonej kartki (rys. 4), szkicujemy sobie kontur zwierzęcia, wycinamy go nożyczkami, wywijamy głowę — i zwierzę już stoi na 4 nogach. By stało pewniej, można sam kraj grzbietu posmarować klejem i zlepić.

*

Szczupłe ramy mojego „kącika" nie pozwalają mi na opisanie wszystkich figlików, jakie dają się zrobić jeszcze z papieru, jak okręciki, solniczki, żabki, jaskółki itp. Popytajcie o nie swoich znajomych a napewno nauczycie się niejednego.

baj.

ZWINNY TUR.

Wciąż naprzód!

(Ciąg dalszy.)

— A pan nie rozumie? Gospodarz koszą siano za rzeką, na bagnach.

— Aha!

Dopiero coś w dziesiątej chałupie stwierdził zupełnie poprawną czystość. Obszedł stodołę, zaglądnął do chlewków — naprawdę czysto. Studnia w podwórzu, z komina się dymi — a więc wszystkie dogodności, tylko — nikogo niema w domu!

— Ot psie szczęście! myśli Leszek, kierując się już ku wyjściu, ale spostrzegł, że gdzieś z za domu wychodzi nie młoda już, koło czterdziestu lat licząca kobieta.

— Dzień dobry matko! Czy nie pozwoliłaby pani zanocować nam w stodole. My zupełnie nie palimy, jest nas osiemnastu, płyniemy...

— Ja nic nie rozumiem, co pan mówi!

Leszek przerwał. Jakto — nic nie rozumie? Przecież tak wyraźnie mówi. . Może zbyt szybko mówił, albo za cicho.

— Proszę panią! — zaczął głośniej — mybyśmy chcieli u pani zanocować w stodole, możemy nawet zapłacić...

— Kiedy ja nic nie rozumiem, co pan do mnie gadają!

— A może pani głucha?

— Ja nic nie rozumiem co ludzie do mnie mówią: słyszę głosy, ale nie rozumiem. Od pięciu lat zapadłam na taką chorobę i nic nie rozumiem!

Leszek szeroko otworzył oczy i patrzał na kobietę o pooranej twarzy, która mu taką dziwną prawdę mówiła.

— Jakto?... Pani słyszy i nie rozumie!!!

— Niechże pan nic do mnie nie mówi, bo i tak nic nie rozumiem — mówiła głosem śpiewnym z odcieniem ledwie uchwytnego smutku i przygnębienia.

— Niech pan idą do sąsiadki, bo ja nic nie wiem. Słyszę głos pana, ale nie rozumiem...

Oszołomiony, z wypiekami na policzkach, drobnym, nienaturalnym krokiem odszedł od kobiety, która słyszy poszczególne wyrazy, lecz nie rozumie ich znaczenia.

— — — — — — — — — — —

Przedpelski zły, że kwatermistrze tak marnie się spisali, sam zarządził poszukiwania na końcu wsi i znalazł już o zmroku nieco zeszłorocznego siana.

Zmęczenie było porządne. Do kolacji, którą dopiero na dziewiątą przyszykowano niektórych trzeba było budzić.

Tylko Leszek nie spał i długo w noc rozmyślał o dziwnym zjawisku. Wyraźnie słyszy, a nie rozumie...

Na drugi dzień zrana nielada kłopot był ze spuszczaniem kajaków na wodę. Dno Biebrzy w tem miejscu usiane było ostremi kamieniami i wiele należało zachować ostrożności, by delikatnych łódeczek nie uszkodzić. Nakoniec ruszyli, został tylko Wicher, którego załoga montowała prymitywny ster, albowiem dotychczasowa praktyka wykazała, że kajaki najlepiej opatrzeć sterami — wioślarz mniej wtedy się męczy, nie potrzebując zużywać wiele siły na skręty.

Chłopcy poprzednio ustalili, że co 30 minut, na sygnał oboźnego, będą się zmieniać wioślarze na łodziach. Wobec tego, na płaskodenkach po pół godzinnem wiosłowaniu wioślarz miał całą godzinę odpoczynku, gdyż wiosłowali dwaj pozostali, nieco gorzej było na kajakach, gdzie siedziało tylko dwóch harcerzy i każdy z nich miał tylko 30 minut odpoczynku a nie godzinę.

Biebrza nieco zmieniła swoje brzegi: zniknęły łąki a na ich miejsce ukazały się wierzby, a nieco dalej — nawet pagórki pokryte lasem lub łanami lichego zboża.

Niedaleko ujścia Biebrzy do Narwi leży wieś Sieburczyn, a tuż nad brzegiem park właściciela p. Kuberskiego. Wieś

Kącik zastępowych.

Gry na obserwacje.

1. Zastęp. kładzie na stole 2 przedmioty, poczem po chwili je zakrywa. Następnie druhowie podają opis tych przedmiotów. Wygrywa odpowiedź najszczegółowsza, np. „Dwie śrubki, obie miedziane; pierwsza długości 1½ cala ,z dużą główką i uwiązaną przy niej nitką, druga — długości ¾ cala, bardzo zardzewiała".

2. Zastęp opuszcza pokój, a tymczasem zastępowy, nic nie wspominając o tem uprzednio, przestawia parę krzeseł. Po powrocie do izby zastęp ma je postawić na właściwe miejsce.

3. Zastępowy pokazuje fotografje lub kartki pocztowe z widokami znanych budynków, szczytów górskich, lub miejscowości szczególnych, — obecni powinni je rozpoznać.

Tę samą grę można przeprowadzić z portretami znanych ludzi.

Wbijanie kołków na ślepo.

Zastępowy wbija kołek od namiotu w ziemię, następnie zawiązuje szeregowemu oczy i odprowadza na odległość 5-ciu metrów, poczem chłopak robi trzy pełne obroty. Następnie zbliża się do kołka (już z zawiązanemi oczyma) i stara się weń uderzyć młotkiem. Nie wolno przytem macać rękoma.

Magiczne koło.



O ile druh zakreślony „Magicznem kółkiem", nadeśle do Redakcji „Na Tropie" do dnia 15 lutego 1931 r. swój adres — otrzyma nagrodę.

Niespodziewane wypadki.

1. Podczas zbiórki wbiega niespodziewanie do izby dwóch chłopców, przebranych za zbójców, porywają parę przedmiotów lub dokonują jakiego innego „czynu zbrodniczego", poczem uciekają. Następnie każdy z chłopców obecnych na zbiórce podaje sprawozdanie o zajściu (na podstawie własnych spostrzeżeń) oraz możliwie dokładny opis obu „zbójców".

2. Zastępowy oznajmia chłopcom, iż przed izbą leży jakiś człowiek bez przytomności (nie zemdlony). Trzeba mu przeszukać kieszenie, aby określić, skąd przybył, ewtl. gdzie mieszka lub pracuje, i zająć się jego losem. Ćwiczenie to daje świetne pole do popisu dla pomysłowości zastępowego, który może odpowiednio pzygotować ćwiczenie, oraz dla każdego z członków zastępu.

(Objaśnienie do przyrodniczej wkładki ilustracyjnej.)

1. **Dziewięćsił bezłodygowy** — ładna roślina, rosnąca na suchych łąkach, wzgórzach i ugorach, czasem w słonecznych lasach. W Karpatach częsta, na niżu też nierzadka, z wyjątkiem Pomorza, Śląska i półn. Wileńszczyzny, gdzie się rzadziej znachodzi.

2. **Podrzeń żebrowiec.** — Jest to ładna paproć, dochodząca tylko rzadko do 50 cm. wysokości. Rośnie w cienistych lasach, zwłaszcza szpilkowych. W Karpatach dość częsta, rzadka na niżu.

---

park i pałaczyk stanowili tak dużą rozmaitość w dotychczasowym łąkowym krajobrazie, że wszyscy z przyjemnością spoglądali na ten wdzięczny widoczek.

Nagle zerwały się skądś duże czaple i spokojnie poleciały w dół rzeki.

— Choćby dlatego, by zobaczyć czaple na wolności, warto odbyć taką wycieczkę — zawyrokował Julek.

— A dla niezmąconej ciszy? a dla radości wysiłku? a dla odczucia przyjemności wody? a dla owego „nieznanego", które kryje się za każdym zakrętem i każdej chwili... — nie zdążył jeszcze Zygmunt dokończyć zdania, gdy z pierwszej łodzi, oddalonej o kilkaset metrów od Humania rozległ się bojowy, radosny okrzyk.

— Naaarew! Mo-w-wo! mo-w-wo! momowo!! — okrzyk został podchwycony przez następne łodzie a całe ujście Biebrzy takim samym odpowiedziało echem.

W Narwi zaraz kąpiel. Łodzie przybijały jedna za drugą, smagłe ciała wyskakiwały czemprędzej na brzeg, oczekując wyznaczenia wartowników i sygnału na wchodzenie do wody. Jest — wyskoczyli! Pływają, śmieją się, dowcipkują.

— Czekajcieeo! Dam nura w Biebrzy a wypłynę na Narwi — to ci będzie heca, jak w domu będę opowiadał! — dowodził jeden.

— Uważaj tylko, bo przy ujściu jednej rzeki do drugiej powstają potężne niewidoczne wiry i mogą ciebie schwycić!..

— Ee, chyba bujasz! Zresztą zaraz spróbuję! — istotnie zanurzył się w Biebrzy i wypłynął prawie na środku Narwi.

Inni znowu rozpaczali, że Narew jest znacznie mniejsza od Biebrzy i właciwie Narew do Biebrzy a nie odwrotnie wpada. Dopiero za Wizną stwierdzili, że Narew jest rzeką mocniejszą niż Biebrza. Wygląd brzegów też się zmienił — jakgdyby urosły, czy olbrzymiały.

Po kwadransie ruszyli dalej. Nawet słońce może być wrogiem, to też lekki deszczyk przyjęli wycieczkowicze z ulgą, najpierw podstawiając swoje bronzowe, rozgrzane ciała pod krople dżdżu, a później poszukując płaszczy, by schronić się przed zimnem. Najbardziej dało się we znaki tym, którzy przed wycieczką nie bardzo byli opaleni. Pomimo dużych ostrożności przy opalaniu się, skóra była zaczerwieniona, mocno piekła, a nawet u niektórych schodziła pasami. Najbardziej ucierpiały nosy. Przypominały kolorem czerwony burak, mieniły się granatem, upodobniały biednych chłopaków do nałogowych pijusów.

— Jak to dobrze, że nie mam kataru — przecie nie mógłbym wytrzeć nosa.

— A jak to dobrze, że krzyż harcerski nosimy na piersiach — niktby przecie nie uwierzył, że nie pijemy spirytusu, — dowodził inny.

W deszczu stanęli na obiad we wsi Niwce.

— Chłopacy! jajecznica będzie na obiad! — wołał Bernard.

— Hip, hip, hurra! — wrzasnął któryś.

Jedzenie na wycieczkach odgrywa olbrzymią rolę, bodaj nawet pierwszorzędną. Jedzenie jest podstawą zadowolenia, źródłem dobrego humoru; niestety, nie zawsze i nie wszędzie można było dostać nawet najprymitywniejszych produktów. Czasami albo wsie były tak ubogie, że oprócz ziemniaków, nic prawie tam nie jadano, czasami gospodarze byli w polu, czasami znów, żądano ceny, przewyższające nawet rynkowe. Naogół jednak tryb życia na łonie przyrody, szczególniej zdala od miast i miasteczek wyrobił szczerość i szczerą chęć usłużenia innym. Jednak jej w Niwce nie znaleziono i trzeba było ograniczyć się do ryżu.

(D. c. n.)

JAK ANTEK CWANIAK ZOSTAŁ UCZONYM

ROZDZIAŁ OSTATNI.

„O BENEDYKTYNACH I O GRYPIE."

Minęło wiele tygodni. Wiosna poczęła zbliżać się do Rybnika i węgla coraz mniej kładziono do pieców. Wilczki, pod wodzą Cwaniaka, przepracowali wiele zbiórek i pozdawali wiele różnych egzaminów. Już przestali ćwiczyć się w Dzikich Ludzi, skończył nawet zabawy, gawędy i ćwiczenia słowiańskie [1]; zaczęli właśnie robić różne zbiórki jako Pierwsi Polacy. Nie wszystkim jednak nowe porządki i zbiórki historyczne podobały się. Kilku wilczaków gardłowało, że to bałagan tyle miesięcy szykować się do przedstawienia i niewiadomo jeszcze, kiedy będzie koniec. „Wszystkie zęby mleczne mi powypadają i wyrosną zupełnie inne, zanim przygotujemy całe przedstawienie" — perorował Plisiuk.

Ale Cwaniak uparł się i przysiągł na pewnej zbiórce, że choćby nie wiem co, choćby Wilczki z lat wyrosły — musi być cała historja przerobiona i, że jak dobrze się wezmę, to za osiem miesięcy skończą. Ale zato jaka potem sława na ich gromadę spadne! O — jo — joj! Oni pierwsi w Rybniku, a może i na całym Śląsku zrobią festne i prawdziwe przedstawienie historji Polski. Więc pilnował Cwaniak zbiórek, starał się razem z Panem Młodzianowskim ciekawie je układać. Notował też pilnie w notesie, który Wilczek dobrze zdał próbę na Dzikiego Człowieka i Słowianina, a który nie.

Teraz właśnie siedziała cała gromada w dużym pokoju. Każdy Wilczak miał przed sobą arkusz papieru kancelaryjnego, a w ręku trzymał pióro. Ale co to były za pióra!! Nie żadne sklepikowe, a prawdziwe gęsie! Sami Wilczacy temperowali je pod wodzą pana Młodzianowskiego, tak samo własnemi rękoma zrobili sobie atrament, więc przyjemnie było i ciekawie pisać „własną robotą". A Antek siedział na wysokiem krześle i dyktował chłopakom pisanie, pilnując, by chłopcy pisali powoli — powoli, żeby nie było na papierze krzywych kulasów, a prawdziwe litery i żeby zostawiano wolne miejsca, bo niektóre litery będą malowane farbami. Teraz bowiem bawili się w Benedyktynów, o których już raz opowiadał Pan Młodzianowski.

— Napisaliście już tytuł? Nie wszyscy? Te, Franek, wymaż tego żyda. No, siup dalej, piszcie:

Jesteśmy Benedyktyni [2]
Pracować bardzo lubimy,
  Bo praca Wilczaka nic nie straszy,
  Bo praca Wilczaka raduje!

Litery ładnie piszemy,
Duże barwnie malujemy,
  Bo praca Wilczaka nic nie straszy,
  Bo praca Wilczaka raduje!

Ogród własny posiadamy,
Rzodkiew, marchew zasadzamy,
  Bo praca Wilczaka nic nie straszy,
  Bo praca Wilczaka raduje!

Chorych leczyć się uczymy,
W zielnikach kwiaty suszymy.
  Bo praca Wilczaka nic nie straszy,
  Bo praca Wilczaka raduje!

Psalmy dwa ciągle śpiewamy
I modlitwy układamy .
  Bo praca Wilczaka nic nie straszy,
  Bo praca Wilczaka raduje!

Wysuwając języki z ust, marszcząc się i sapiąc, kaligrafowały Wilczęta słowa pieśni. Gdy Antek powiedział, że dużych liter nie będą malowali farbami na zbiórce, a każdy pomaluje w domu, wrzaskliwie ucieszyli się wszyscy. Prędko poskładano papiery, pióra i atramenty i wkrótce potem wyruszyli wszyscy z domu do ogrodu, w którym rodzice Kostka pozwolili założyć Wilczętom własne grzędy. Antek kazał wszystkim rozbiec się po ogrodzie, żeby przez parę minut każdy rozprostował sobie nogi i grzbiet — ale, gdy zobaczył, że Plisiuk ze Staszkiem zaczynają się bić, gwizdnął przeciągle na zbiórkę.

— No, teraz, chłopaki, musimy nauczyć się śpiewać tej piosenki, co ją dzisiaj przepisaliśmy. Dziś będziemy ją śpiewać przy robocie, ale jak będzie przedstawienie, ubierzemy się w habity, jak prawdziwi zakonnicy i wtedy dopiero zaśpiewamy na fest. Najpierw ja sam zaśpiewam. Wy słuchajcie, żebyście się melodji nauczyli.

I Antek zaczął:

Jesteśmy Benedyktyni . . .

Trochę potem wszyscy już piskliwemi głosami śpiewali benedyktyńską piosenkę. Najpierw śpiewali w kupie, potem zaś w pojedynkę, podlewając świeżo zasadzoną rzodkiewkę. Strasznie się wszystkim podobała, że taką prawdziwą piosenkę śpiewali, więc tak głośno piszczeli, aż sąsiad z za płotu krzyknął: „A zamkniecie wy gardło, bachory zatracone?"

Wilczęta jednak nie zamknęły ust, tylko śpiewały z większem umiarkowaniem.

Zresztą zmęczyło ich trochę bieganie po wodę i podlewanie. Chcieli już spokoju, ale Antek akurat zarządził nową grę.

— Zrobimy teraz turniej rycerski. Stańcie tutaj wszyscy na placyku wkoło. Tak, dobra jest! Będę wyznaczał 2 rycerzy i 2 konie. A jak wyznaczę, to każdy rycerz wsiądzie na kark swego konia i zacznie się walka. Który rycerz zwali przeciwnika na ziemię — temu postawię plus, a który upadnie — minus.

[1]) Śpiewali wtedy piosenki o Kupajle, o Lelum Polelum, uczyli się różnych ćwiczeń ze „Starej Baśni", strugali z drzewa i lepili z plasteliny Światowida, zrobili wielki kinematograf bez płótna ze strasznym dramatem „Krakus" itd.

[2]) Piosenka na melodję: „Idzie żołnierz borem, lasem, Przymierzając z głodu, czasem. To bieda, to bieda . . .



Fot. Wł. Miedniak.

Zima. — Przeczysta śnieżna szata zdobi świat. W kryształkach śniegu skrzy się słońce. Dunajec spętały lodowe okowy.

Na harcerskim szlaku.

STRYJ, kresowe miasto, należące do Kom. Chor. Lwowskiej wcześnie poznało się z ruchem harcerskim. Już w roku 1911 powstaje tu drużyna, która świetnie się rozwija. Od tego czasu harcerstwo w Stryju przechodzi różne koleje, dobre dole i złe, ale tych ostatnich najwięcej. Dopiero w ubiegłym roku kilka energicznych jednostek ruszyły z miejsca kostniejące trzy drużyny, zakładając Hufiec, który mimo kilkomiesięcznego istnienia poruszył sprawę harcerstwa w Stryju znacznie naprzód. Przedewszystkiem drużyny wewnętrznie skonsolidowały się i przez to stały się zdolnemi do pracy. Stan hufca wynosi 70 druhów w wieku 13—16 lat. Na uczczenie setnej rocznicy powstania listopadowego urządził hufiec w ubiegłym roku wycieczkę i wielkie ćwiczenia. 29 grudnia urządził wielką zabawę w Sokole, która dochodu dużego nie przyniosła ale bardzo się przyczyniła do spopularyzowania harcerstwa. 30 grudnia odbył się uroczysty opłatek. Hamująco na rozwój harcerstwa w Stryju działa brak własnych izb, których sale szkolne nigdy nie potrafią zastąpić. (Sand K.)

DRUŻYNA WŁÓCZEGÓW. Specjalne zamiłowanie do włóczęgi, celem poznania kraju ojczystego, pokutuje u „rzezimieszków", czyli mówiąc językiem poprawnym w Drużynie rzemieślniczej im. J. Kilińskiego w Cieszynie. Za przykładem dha podhm. Kiszy, który z dhem Sztefkiem w roku 1926 przewędrował Karpaty od Cieszyna po Worochtę piechotą, nocując pod namiotem, w roku 1929 czterej druhowie: Dąbrowski, Waniołka, Pilarczyk i Smoleń powędrowali do Poznania na zlot, a drh. Dąbrowski nawet okrężnie, bo przez Gdynię, po zwiedzeniu wybrzeża zawitał na zlot. W roku następnym w lecie nogi poniosły ich ale już z drużynowym podhm. Koźbiałem do Zakopanego. To jeszcze im nie wystarczyło i dh. Waniołka z dhem Pilarczykiem idą jeszcze tego samego lata do Warszawy i z powrotem, a to wszystko na szczerą piechotkę z plecakiem na barkach i z laską w dłoni. Także w roku bieżącym na pewno nie wytrzymają i znowu polecą w świat, nie na skrzydłach fantazji, lecz na swoich własnych kikutach. (Puhacz.)

KIERMASZ IV-ej drużyny żeńskiej w Katowicach odbył się w dniu 20 grudnia 1930 r. Drużyna zarobiła około 30 zł. na sprzedaży zabawek choinkowych. Przed kiermaszem ogłoszony był między zastępami konkurs na największą ilość zabawek. Pierwsze miejsce zdobyła w tym konkursie najmłodsza gromadka „muchomorów". Zabawki niesprzedane zostały zużyte na ozdobienie drzewka Zarządu Oddziału Śląskiego wraz z zeszytem wzorków; parę zabawek wysłały druhny do Anglji i Nowej Zelandji, aby pokazać Angielkom, które zainteresowały się naszemi polskiemi wycinankami, że zuchy świetnie potrafią wyrabiać zabawki choinkowe. (T.)

171 LUDZI liczy hufiec w Łucku. Drużyn w hufcu sześć, a to I. przy gimnazjum państwowem, prowadzi dh. Kropownicki; II. przy seminarjum nauczycielskiem prowadzi dh. Reszke; III. przy szkole handlowej prowadzi dh. Trzciński, IV. przy szkole powszechnej prowadzi dh. Michałowski, V. rosyjska św. Jerzego przy gimnazjum rosyjskiem prowadzi dh. Bieliński VI. przy szkole rzemieślniczej prowadzi dh. Zajączkowski. W ubiegłym roku odbył się kurs instruktorski w Horzycy nad Horyniem, druhowie, którzy wrócili z kursu, pchnęli pracę odrazu naprzód. W hufcu istnieje oddział P. W. Harcerskiego. Hufcowym jest dh. Kropownicki. (K.)

JAWORZNO PISZE: Hufiec nasz liczy 3 drużyny i 1 nowozałożoną drużynę „Wilczków" oraz drużyną instruktorską „Świt". Prócz tego są jeszcze 2 drużyny żeńskie. Letnie nasze łowy spędziliśmy daleko, bo aż w Druji nad Dzisną, a wypadami dotarliśmy do Dyneburga. W Druji byliśmy miesiąc cały, zdobywając sobie uznanie przez należyta wywiązanie się ze swoich zadań. Byliśmy



miesiąc, lecz kiedy nam zeszedł — to nie zdajemy sobie sprawy, tak że z niemałym trudem zdołaliśmy opuścić nasze leża. Istotnie prawdziwą niespodziankę sprawiła nam tamtejsza ludność — mniejszość narodowa — w chwili naszego odjazdu. Tłumy ludu, harcerek i harcerzy napełniły dworzec — imieniem społeczeństwa żegnał nas p. Turbiak i ks. Ślęp, a harcerki obdarowały nas bukietami kwiatów. Żegnaliśmy się, — jako jedna potężna rodzina. Z pieśnią na ustach opuściliśmy Druję — a pozostali żegnali nas wołając: Niech żyje Harcerstwo Polskie — Niech żyje . . .

Przybywszy do Jaworzna wprzęgamy się do naszej ukochanej pracy. Bierzemy udział we wszystkich uroczystościach społecznych lub też sami obchodzimy je uroczyście w naszej świetlicy.

Tak więc z okazji 12 rocznicy odzyskania niepodległości urządzony został uroczysty wieczór z popisami. By imprezy takie wypadały możliwie jaknajlepiej założono kółko sceniczne, które organizuje wieczór z okazji 100 lecia powstania listopadowego z bardzo urozmaiconym programem. Podniosłą w czasie wieczoru była szczególnie chwila „oddania czci poległym o wolność" przez przykrycie mogiły, symbolizującej powstanie, sztandarem hufca. Cały szereg produkcyj zakończono odegraniem sztuki „Proroczy sen". (Stary Sokół.)

Z KOCIOŁKA 5 LWOWSKIEJ M. D. HARC. „ORLĄT". Harcerskie życie jest to jazda raz „pod wozem", a drugi raz „na wozie"; inaczej pocóżby istniało prawo, że „harcerz jest zawsze pogodny". Wstęp ten był konieczny po to, by Szanowna Redakcja, względnie liczni czytelnicy „Na Tropie" mogli bez większych trudności zrozumieć dalszą treść. Dzisiejsze nasze życie jest podobne do jazdy „pod wozem" — a raczej do życia „na korytarzu" względnie „na zielonej trawce". Dzieje się to dlatego, że Sokół II. odebrał nam naszą śliczną izbę harcerską. Ciężko nam więc żyć, ale że „pogoda" jest, więc jakoś to idzie — a nawet idzie tak, że urządziliśmy w drużynie kurs łuczniczy i kurs narciarski (mamy 9 par własnych nart). Po staremu nasza orkiestra umila nam życie, a gromada starszoharcerska rusza się, sejmikuje — tańczy — strzela z łuków, gra w siatkówkę itd. Ostatnio urządziliśmy nawet kurs strzelania z broni małokalibrowej. Pozatem pracujemy nad dziejami naszej drużyny — kilka rozdziałów jest już gotowych. (Kazik B.)

I. ZAWODY MARSZOWE W MASKACH PRZECIWGAZOWYCH odbyły się w Warszawie w dniu 9 listopada. Zawody urządził Komitet Stołeczny L. O. P. P. Trasa wynosiła około 8 klm. Należało ją przebyć w maskach gazowych. Chorągiew Warszawska wystawiła 3 zespoły po 6 ludzi. Dwa z tych zespołów zdobyły piękne nagrody w postaci pucharu i statuetki.

HUFIEC TARNOWSKIE GÓRY liczy 9 drużyn, nie licząc drużyny w Strzybnicy, gdzie praca dopiero rozpoczyna się. Do hufca należy 240 harcerzy. Wszystkie drużyny, by zasilić kasy, przygotowują przedstawienia teatralne. W ubiegłym miesiącu odbyła się zbiórka alarmowa całego hufca. Komenda Hufca projektuje urządzić wycieczkę na saneczkach przedstawicieli wszystkich drużyn. Przy hufcu istnieje Koło Przyjaciół, na którego czele stoi p. starosta Bocheński. Dzięki cichej, a zgodnej współpracy grona Komendy, praca w hufcu posuwa się intensywnie naprzód. A jak pracują drużyny hufca?

W MIASTECZKU drużyna posiada własny sklepik, w Tarnowskich Górach drużyna seminarjalna hoduje pieczarki, drużyna z Rojcy i IV. Tarnowsko-Górska urządziły podwieczorek połączony z Mikołajem, na którym gościli pp. pułkownik 3 pułku ułanów i p. dyrektor seminarjum. Drużyna w Rojcy organizuje zastęp narciarski i własnoręcznie wykonuje narty. (H. M.)

Dni 7 i 8 grudnia były dniami odpraw w wielu Chorągwiach. Tak się już złożyło. To też Głównej Kwaterze zabrakło wysłanniczek na wszystkie odprawy. Byłyśmy tylko w Wilnie, Białymstoku, Łodzi, w Toruniu i Lublinie. Lwów i Brześć nadeślą nam sprawozdania.

ŁÓDŹ. Specjalnem zagadnieniem bardzo ważnem dla terenu łódzkiego było stworzenie patronatu nad nieletniemi przestępczyniami — byłby to odpowiednik do pracy drużyn starszoharcerskich na terenie Warszawy, chodziło o skoordynowanie tej współpracy. Patronat ma zorganizować opiekę i wywiady w więzieniu dla nieletnich. Drużyny przyjmowały nieraz jednostki na swoje obozy harcerskie, ale próby powyższe udawały się niezawsze, zbyt trudnym elementem były dziewczęta z więzień — droga opieki podczas roku szkolnego jest może lepsza. Chorągiew Łódzka ma ciągle kłopoty z drużynami zakładanemi przez inspektoraty szkolne, proponuje więc zwołać specjalny zjazd opiekunek drużyn i przedstawicieli inspektoratów w celu omówienia tych spraw i uregulowania. O akcji letniej myślą drużyny już teraz, na Wielkanoc chcą zrobić zjazd kierowniczek kolonji i obozów, aby zapoznać je z organizacją i pracami obozowemi. Na zlot lwowski wybierają się drużyny wspólną wycieczką.

Magyar Cserkeszszövetseg.

Na Puszcie węgierskiej rośnie trawa zwana Arvalanyhaj to znaczy „włosy sieroty“. Pęki tej trawy powiewają na kapeluszach skautów węgierskich. Ta oryginalna ozdoba zawiera w sobie symbol ziemi węgierskiej i znana jest nietylko na Węgrzech, ale i szeroko poza granicami gdyż organizacja skautowa węgierska zdobyła już sobie w świecie skautowym przodujące stanowisko.

Blisko 40.000 skautów w kraju liczącym dziś niecałe 8.000.000 ludności, byly prezydent ministrów na czele organizacji, setki wysokich dygnitarzy, setki księży i liczni wysocy dostojnicy kościoła, pełniący funkcje instruktorskie po drużynach i hufcach, katedra pedagogiki skautowej na Uniwersytecie w Budapeszcie, niezależnie od specjalnych wykładów i ćwiczeń na Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego, własny duży budynek w centrum Budapesztu — centrala a zarazem dusza organizacji, sklep z szeregiem filji mający ustaloną reputację nietylko w sferach skautowych ale i szerokiej publiczności, park o bardzo dużej powierzchni w bezpośredniej bliskości Budapesztu przeznaczony na centrum wyszkolenia instruktorskiego i na krótkie obozy drużyn budapeszteńskich, dwie wielkie przystanie dla łodzi jedna w Budapeszcie z budynkami i urządzeniami, z około 400 łodziami różnych typów, druga na jeziorze Balaton nie mniejsza — to są wszystko fakty które mają swoją wymowę.

Organizacja skautowa węgierska podobnie jak większość innych początkami swojemi sięga roku 1909. Aż do roku 1919, kiedy wznowiono ją po zlikwidowaniu przewrotu bolszewickiego na Węgrzech, jest jednak bardzo nieliczna i nie odgrywa żadnej większej roli. Dopiero w latach po wielkiej wojnie, po której potężne Węgry, o 1000 letniej wspaniałej tradycji zostały uszczuplone do dzisiejszych maleńkich rozmiarów — gdy organizacja skautowa wzięła na swoje barki ciężar przeistoczenia duszy narodu węgierskiego zaczęła rosnąć liczebnie w niebywale szybkiem tempie. Najbardziej światli i wartościowi obywatele państwa wypracowują założenia organizacji, która niedługo nie tylko zdobywa sobie prawo obywatelstwa, ale staje się organizacją najbardziej popularną, największą troską otoczoną przez wszystkie czynniki na Węgrzech. Jest to przedewszystkiem wynikiem bardzo dobrze postawionej w drużynach, pracy nad wyrabianiem charakteru, a równocześnie strony fizycznej chłopca.

Podobnie jak w kraju, również i na międzynarodowym terenie skautowym zdobywają sobie „czerkeszowie“ szybko przodujące miejsce. Reprezentacji węgierskiej nie brak prawie na żadnej większej imprezie skautowej międzynarodowej. Pierwszem wystąpieniem na większą skalę był udział Węgrów na II międzynarodowem Jamboree w Kopenhadze w 1924 roku, gdzie zdobyli w zawodach 3-cie miejsce po Ameryce i Anglji. Następną imprezą było Jamboree narodowe w 1926 roku, które zgromadziło pod Budapesztem przeszło 300 skautów zagranicznych — 8 obcych reprezentacji ze specjalnym wysłannikiem Baden-Powella lordem Hampton na czele.

Kolejno idą wystąpienia morskie w Danji, narciarskie w Kandersteg, międzynarodowe zawody wodne w Tihany nad Balatonem, przyjęcie przez 9.000 skautów Baden-Powella, który specjalnie przybył na Węgry, Jamboree narodowe łotewskie znów zima w Kandersteg, wreszcie Jamboree w Anglji w 1929 roku, Jamboree w Barcelonie, uroczystości Emerykowskie.

Wymieniłem tylko parę ważniejszych wystąpień. Wszędzie Węgrzy są pierwsi albo między pierwszymi — roznosząc szeroko imię swej Ojczyzny.

Ta miłość Ojczyzny i pragnienie odbudowania jej dawniejszej potęgi to naczelny i najsilniejszy motyw skautingu węgierskiego. —

Dla Polski żywią skauci węgierscy szczególnie dużo życzliwości i sympatji. Wszędzie, a szczególnie poza granicami — gdzie zetkną się harcerze z czerkeszami, tam odrazu powstają jaknajserdeczniejsze stosunki. Dla ilustracji tej przyjaźni przytoczę wypadek jaki mi się zdarzył kiedy w 1926 roku bawiłem jako przedstawiciel Z. H. P. na Jamboree Węgierskiem: Zapowiedziano przegląd drużyn przez Regenta. Punkt o godzinie 5-tej był obóz na nogach. O godzinie 6-tej nadpłynęło siedem statków od strony Budapesztu. 45 minut trwało załadowanie 8.000 ludzi na statki. Gdy ruszyliśmy, nasz statek (skautów zagranicznych) płynął w środku. Śliczny dzień — chłód ranny i po raz pierwszy od chwili otwarcia Jamboree, wiatr załopotał sztandarem z Białym Orłem. Na statku naszym powiewały również sztandary całego szeregu innych państw. Rozmawiałem właśnie z Komisarzem Zagranicznym Węgierskim, gdy nagle z najbliższego, w parę sekund z drugiego, trzeciego, a wreszcie ze wszystkich otaczających nas statkach usłyszałem potężny śpiew na melodję „Z dymem pożarów“. Spytałem o słowa. Wytłumaczono mi, że jest to dosłowne tłumaczenie z polskiego — jedna z pieśni najbardziej ulubionych na Węgrzech. Salutuję otaczające nas statki, a po skończonym śpiewie, machając czapką, bo głosu mego nie dosłyszanoby, dziękuję. Z ośmiu tysięcy piersi wydobywa się okrzyk „eljen Lengyel-orszag!“ (niech żyje Polska!).

Kapiszewski.



Pomnik św. Emeryka, uroczyście odsłonięty w sierpniu 1930 r. w Budapeszcie. Wybija się postać skauta węgierskiego — czerkisza.

Redaktor ma głos!

Licznie nadesłane w tym roku do naszej Redakcji życzenia świąteczne świadczą wymownie o tem, jak zacieśniają się węzły między „Na Tropie“ a jego Czytelnikami; ta świadomość jest dla nas wielką pomocą i zachętą w pracy. To też za wszystkie życzenia składamy serdeczne podziękowanie; w szczególności jednak podziękować musimy **drużynom żeńskiej i męskiej z Morawskiej Ostrawy,** które zaprosiły nas na Opłatek i uroczystość z okazji 10-lecia istnienia w Ostrawie drużyny harcerskiej. Niestety nikt z Redakcji przybyć nie mógł na Waszą uroczystość, lecz prosimy o nadesłanie opisu dla „Na Tropie“.

Chcę zwrócić naszym Czytelnikom uwagę na **przykry figiel drukarski,** jaki się zdarzył w numerze 9/10 „Na Tropie“ z zeszł. roku. Na str. 7 w powieści p. Kosak-Szczuckiej zostały przestawione kolumny, tak że by zrozumieć sens, trzeba najpierw czytać drugą a potem pierwszą kolumnę. Zanim spostrzegliśmy pomyłkę, część numerów była już wydrukowana, a nie chcieliśmy wstrzymywać ich wysyłki ze względu na nadchodzące święta. Tak więc część czytelników otrzymała numery z błędem, część dobre. Do obydwu powieści, zaczętych w numerze poprzednim „Na Tropie“ dajemy dla nowych czytelników **króciutkie streszczenie** drukowanego już odcinka. Kto jednak pragnie mieć całość, może otrzymać żądany numer z grudnia 1930 r. po nadesłaniu 1 zł. (Numer był podwójny.)

Otrzymujemy często skargi, że numery nie dochodzą do czytelników, a po sprawdzeniu w administracji okazuje się, że numer został w swoim czasie wysłany. Najwidoczniej więc giną numery na poczcie — dlatego prosimy podawać dokładne adresy, a w razie nie otrzymania numeru, natychmiast **reklamować.**

Zwracamy uwagę drużynowych i zastępowych, którzy biedzą się nad wymyślaniem zimowych ćwiczeń dla swych drużyn, że w zeszłym roku w „Na Tropie“ było podanych wiele **gier zimowych. Roczniki „Na Tropie“** z lat ubiegłych można nabywać w administracji pisma.

Dh. K. B., Lwów, znajdzie dziś wyjątek ze swego listu na wstępie numeru — dziękujemy za serdeczne słowa i prosimy o dalsze równie gorliwe poparcie.

Dhowi Sandowi ze Stryja dziękujemy za współpracę. Korespondencja przydała się, bo już w tym numerze ją zamieszczamy. Skautowa Liga Esperantystów, o którą pytacie, posiada swój organ p. t. „Skolta Heroldo“, który wychodzi co miesiąc w Paryżu, adres: 22 Cours Albert 1-er Paris VIII. Cena numeru 2 fr. Co do samej Ligi to została założona w r. 1918 celem zgrupowania wszystkich skautów, mówiących po esperancku. Na czele Ligi stoi biuro i komitet międzynarodowy; ma ona swoich komisarzy i agentów w przeszło 30 krajach. Liga ta organizuje corocznie obozy międzynarodowe dla skautów esperantystów.

Dhowi Kiszy z Cieszyna dziękujemy za korespondencję, którą zamieszczamy; również skorzystamy z materjałów nadesłanych przez **Jaślanina**, ale musi wpierw podać swe nazwisko Redakcji.

Dha Wilka Piewcę prosimy o pamięć o „Kąciku“ — Kolendy nie zamieszczamy. Również nie drukujemy wiersza **dhny Lenówny.**

Główna Księgarnia Wojskowa Wydawnicza wydała znów książki, które zainteresują naszych czytelników. Pierwsza z nich to „W pogoni za słońcem“ A. Gerbault'a. Słyszeliście zapewne o tym żeglarzu, który na jachcie żaglowym odbył samotną podróż naokoło świata. Sześć opisanej podróży w formie dziennika okrętowego ukazała się teraz po polsku. Książka nosi tytuł **„W pogoni za słońcem“.** Wszyscy interesujący się podróżami i żeglugą nasi czytelnicy napewno zapoznają się z tą piękną książką.

Narciarzy ucieszą wydane przez tę samą księgarnię podręczniki majora Ziętkiewicza, a to: **„Sprzęt narciarski“** cena 75 gr., **„Jazda na nartach“**, podręcznik dla instruktorów, uczniów i samouków — cena 5 zł. i **„Użycie smarów narciarskich“** — cena 50 gr. Wszystkie te trzy książki znaleść się winny koniecznie w rękach miłośników sportu narciarskiego, których napewno wśród czytelników „Na Tropie“ nie braknie.

Sprostowanie.

Druh Dr. Strumiłło prosi nas o sprostowanie w związku z notatką p. t. „Ofenzywa Harcerska“, umieszczoną w Nr. 8 z r. ub.: Naczelnictwo powierzyło dh. Strumille jedynie referaty w sprawie ofenzywy na N. R. H. i na Zjeździe Walnym, a G. K. M. tylko zaprojektowanie zarządzeń przygotowawczych.

Dhów Kaleńskiego i Ondraczka przepraszamy za mylne wydrukowanie ich nazwisk w Nr. grudniowym. Powodem były niewyraźne podpisy na listach do Redakcji.

Prenumerata „Na Tropie“: z przesyłką pocztową rocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1,80 zł., miesięcznie 70 gr. Cena numeru 4-stronnicowego 20 groszy, numeru 16-stronnicowego 50 groszy. Należytość za prenumeratę należy uiszczać z góry. W braku pisemnego zawiadomienia prenumerata obowiązuje nadal. W sprawie ogłoszeń należy zwracać się do Administracji. **Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski“. Konto w P. K. O. Katowice Nr. 305 330.**

W skład Komitetu Redakcyjnego wchodzą: Olga Grzbielowa, Marja Kapiszewska, Jadwiga Laszczkówna, Jan Grzbiela, Henryk Kapiszewski, Jan Kazimierz Zaremba. Pracą Komitetu Redakcyjnego kieruje Marjan Wierzbański.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.

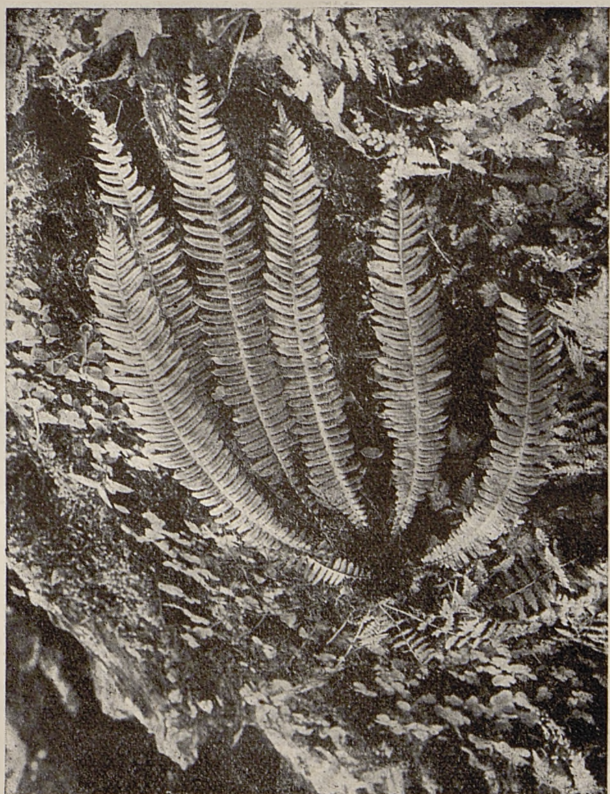
Odbito w Drukarni Śląskiej Sp. z o. o., Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Dodatek do „Na Tropie“.



Carlina acaulis — Dziewięćsił bezłodygowy.



Blechnum spicant — Podrzeń żebrowiec.

Fot. Dr. M. Koczwara.